



ROSALIE ASH



*Ślepa
namiętność*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nic nie rozumiem. - Virginia przeniosła spojrzenie z zasmuconej twarzy ojca na zatopionego w ponurych rozmyślaniach brata, w końcu zaś jej błękitnozielone oczy spoczęły na rozpalonej i niespokojnej twarzy bratowej. - Wiem dobrze, że dla całej rodziny ciągle jestem dzieckiem i tylko kobietą. - W odpowiedzi ojciec uśmiechnął się blado. Problem ten od lat był przedmiotem sporów. - Nie rozumiem jednak, dlaczego właśnie pożar ma oznaczać koniec wszystkiego. Z pewnością...

- Tata nie powiedział wcale, że to koniec, Virgie... - łagodnie wtrącił Charles. - Trzy lata w college'u nie oduczyły cię wyolbrzymiania wielu spraw.

- Nie zmieniaj tematu. - Virginia niespokojnie przeczesła ręką rudozłote włosy, zapominając, że wcześniej zostały one starannie upięte w kok. - I nie traktujcie mnie, proszę, tak protekcyjnie! Przecież zarząd firmy wyjaśnił szczegółowo, w jakich znaleźliśmy się kłopotach. Jesteśmy poważnie zadłużeni, wykazujemy straty nawet przed opodatkowaniem. Ledwo starczy nam pieniędzy na pensje w tym miesiącu. Nie jesteśmy w stanie wykonać połowy zamówień... To wszystko nie stało się nagle, po wypadku z tą nową opalarką tkanin na wydziale drukarskim...

- Nie - przyznał ojciec oddychając ciężko. W jego zielonych oczach, jaśniejszych od oczu Virginii, kryło się cierpienie. - Wynikło to, niestety, z przestarzałego stylu zarządzania, braku innowacji, złego marketingu. Według opinii banku, chciałbym dodać, nie mojej...

- Ale także ze zmiennego popytu i wysokiej stopy procentowej - zaprotestował nieco urażony Charles, pełniący w firmie Sarah Chester Fabrics rolę szefa sprzedaży i planowania.

- Nieważne, jak to nazwiemy, ponoszę za to taką samą odpowiedzialność, jak każdy inny. Zapewniam cię, że teraz potrzebujemy dużego kapitału na inwestycje, aby utrzymać się na powierzchni, niezależnie od pieniędzy, które

odzyskamy dzięki ubezpieczeniu. A bank domaga się modernizacji zarządzania, zanim udzieli nam poręczenia...

- I tu, jak się domyślam, wkracza na scenę przyjaciel Charlesa, ten przemądrzały karierowicz, Guy Stern? - z nie ukrywaną niechęcią spytała Virginia. Kipiała wściekłością, zdając sobie sprawę, że rodzina lekceważy jej argumenty. Sala konferencyjna była teraz w połowie pusta. Po zakończonym przed chwilą zebraniu zarządu pozostała jedynie rodzina Chesterów.

- Guy nie jest przemądrzałym karierowiczem - zaprotestował Charles tonem, którego używał, gdy trzeba było udobruchać szczególnie rozdrażnioną siostrzyczkę. - Tak się składa, że jest wziętym... - zawiesił głos szukając najwłaściwszego słowa - biznesmenem.

- Groszorem! Babcia, gdyby żyła, dostałaby zawału! Wiercie mi, taki człowiek będzie miał w nosie zasady, które ona tak ceniła: troskę o pracowników, etykę zawodową... Poza tym sądzę, że nie będzie w najmniejszym stopniu zainteresowany przemysłem tekstylnym!

Charles spojrzał na ojca znacząco. Gładki kosmyk kasztanowych włosów opadł mu na czoło.

- Zysk to zysk, nieważne, w jakiej branży. - Obdarzył Virginie swym przekornym chłopięcym uśmiechem.

Cynizm w ustach brata był rzadkością i Virginia zrozumiała, że sprawa jest trudna. To prawda, Chesterowie mają poważne kłopoty...

- A więc zasady, których przestrzegano w Sarah Chester Fabrics, nie będą obowiązywały?

- Jeśli nie uda się przekonać kogoś takiego jak Guy, aby nam pomógł, to S.C.F. przestanie istnieć razem ze swoimi zasadami. - Kiedy Charles chciał ją uspokoić, zawsze uśmiechał się w ten sposób. Virginia była zawiedziona. Ile to już razy brat i ojciec zamykali jej usta, nie licząc się z jej zdaniem?

To właśnie babcia pomogła dziadkowi stworzyć S.C.F. To jej projekty dały początek całemu przedsięwzięciu. Gdyby nie wiedza techniczna dziadka,

dzięki której projekty te mogły być zrealizowane, Virginia uznałaby wszystkich mężczyzn z rodu Chesterów za beznadziejnych męskich szowinistów. Mimo że fabryka nosiła imię jej babki, tata i Charles traktowali płęć piękną nieco lekceważąco. Nieraz dawali jej, Virginii, do zrozumienia, że im szybciej wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci - tak jak jej bratowa Lucy - tym lepiej! To nie było w porządku! Znowu poczuła żal, ale i złość na siebie za to, że jest taka samolubna nawet w chwili, gdy rodzinna firma stanęła na skraju bankructwa. Ojciec zawsze polegał na poczuciu odpowiedzialności Charlesa, dzielił z nim kłopoty i strapienia. Byłoby to wspaniałe, pod warunkiem, że liczone by się również z jej zdaniem... Ma dwadzieścia jeden lat. Jeśli uzyska dobre wyniki w szkole, już w sierpniu otrzyma dyplom projektanta tkanin. Dlaczego więc nie może być traktowana poważnie?

- A zatem mamy przekazać ster w ręce człowieka, którego nie obchodzi nic poza pieniędzmi? - zapytała z uporem. - I to wtedy, gdy każdy widzi, że firma wymaga jedynie przemyślenia na nowo kierunków działania, urozmaicenia produkcji...

- Może jednak uwierzysz w naszą inteligencję, Virginio? - Głos ojca zabrzmiał bardzo chłodno. Wstał gwałtownie, a jego spojrzenie mówiło, że nie dopuszcza sprzeciwu. - Gdyby był jakikolwiek sposób pozwalający na uniknięcie całej tej afery, to przy naszym doświadczeniu na pewno byśmy go znaleźli!

Virginia przygryzła wargę, dojrzała współczujący uśmiech Lucy i wzięła głęboki oddech.

- Tak, oczywiście - powiedziała z goryczą czując, że emocje towarzyszące rozmowie wywołały jeden ze znanych jej ataków szalonego bólu głowy.

- Wracaj do domu z Lucy, Virginio. Odpocznij trochę i nie zadrećzaj interesami swojej pięknej główki - dodał ojciec z lekkim poczuciem winy w głosie, jakby przypomniawszy sobie o jej rekonwalescencji. - Jesteś blada jak upiór, kochanie.

- To tylko nerwy, tatku - wymamrotała kipiąc ze złości.

- Herbatę wypijemy w oranżerii, dobrze, Virgie? - Lucy wstała, podnosząc z trudem swój wielki brzuch zza stołu.

- Świetnie. - Virginia przytrzymała drzwi biura, przepuszczając ciężarną Lucy, i na pożegnanie uśmiechnęła się chłodno do pozostających w sali mężczyzn.

- Do zobaczenia.

Na parkingu Lucy podała kluczyki Virginii i wcisnęła się na miejsce obok kierowcy. Zerknęła z lekkim przestraszaniem na bratową, prowadzącą, jej zdaniem, nieco zbyt szybko.

W parę minut zostawiły za sobą biura Sarah Chester Fabrics, minęły osmaloną przez pożar halę druku tkanin i zanurzyły się w bujną zieleń drogi do Armscott Manor, domu Chesterów od trzech pokoleń. Trudno było uwierzyć, że to już prawie sierpień... Przebłyski słońca, pierwsze od wielu dni tego, chłodniejszego niż zwykle, angielskiego lata, ozłacały kremowe kwiaty wychylające się ze splełanych gałązek żywopłotu. Ich silny zapach dolatywał przez odkryty dach samochodu, przywołując Virginii bolesne wspomnienia wiejskich spacerów z Mortimerem w Oxfordshire. Tak, to był szczególny rok - i to z wielu powodów...

Przejechały kilkanaście kilometrów, zanim Lucy odważyła się odezwać.

- Postaraj się tak tym nie przejmować, Virgie...

Virginia zdała sobie sprawę, że zupełnie niepotrzebnie kurczowo ścisnęła kierownicę. Spróbowała się odprężyć, zmuszając się do uśmiechu, lecz wzmagający się ból głowy na powrót wykrzywił jej usta.

- Zwykle mi się udaje. Ale to takie frustrujące! Mam przecież swoje udziały w spółce i mimo to nikt nie uważa za stosowne poinformować mnie, gdy zaczyna ona iść na dno!

- Byłaś w college'u, chorowałaś... Uznaliśmy wszyscy, że masz dość własnych zmartwień. A poza tym, aż do czasu pożaru nikt nie przypuszczał, że jest tak źle...

- Tata i Charles tylko starają się mnie uspokajać, tymczasem mogłabym przecież im pomóc.

- Wiem, że za chwilę otrzymasz dyplom projektantki... - powiedziała niepewnie Lucy. Virginia wzięła długi zakręt, zaparkowała w cieniu cedru i wyłączyła silnik. - Charles twierdzi jednak, że bank domaga się nowego, energicznego kierownictwa. Jego ta perspektywa nie przeraża, tak więc...

- Tak więc dwudziestojednoletnia absolwentka szkoły artystycznej nie jest tym, czego chce bank? - zauważyła z przekąsem Virginia. Wysiadła z samochodu i pomogła wydostać się Lucy. - Tak, wiem! Ale ja nie szukam synekury w przytulnej rodzinnej firmie. Jestem zdecydowana sama kształtować swoją karierę. Palę się do tego i zrobię to na pewno, gdy tylko będę już miała dyplom, no i pozbędę się tej okropnej mononukleozy, jak to fachowo określa doktor Newne. Chodź, zrobię herbatę. Zdaje się, że powinnaś wygodnie usiąść.

- Nie jestem pewna, która z nas w tej chwili jest w gorszym stanie - powiedziała Lucy, z wdzięcznością sadowiąc się wśród kwiecistych poduszek na wiklinowej kanapie. - Czy jest jeszcze pani Chalk? Jeśli się do niej uśmiechniesz, to założę się, że zaraz przyniesie nam tacę z herbatą.

- Pójdę zobaczyć, tylko proszę, nie ruszaj się.

Virginia przeszła powoli przez oranżerię, a następnie przez chłodny, kryty dachówką korytarz. Znalazła się w obszernej kuchni wśród pomalowanych na biało ogromnych staromodnych kredensów i wyszorowanych do czysta stołów z wiązowego drewna. Pani Chalk nigdzie nie było. Zanim zaczęła robić herbatę, podeszła do szafki na lekarstwa, znalazła środki przeciwbólowe i zażyła je, popijając wodą. Utrzymujące się po ostrym zapaleniu węzłów chłonnych dolegliwości trwały już, jak na jej gust, zbyt długo. Jako osoba z natury

aktywna, czuła, że konieczność zwolnienia tempa życia w ostatnich miesiącach powoli doprowadza ją do szału.

- Zdaje się, że już niedługo wyjeżdżacie z Charlesem na wakacje? - zapytała Virginia, gdy obsłużywszy Lucy sama usiadła na wiklinowym krześle popijając herbatę. - O ile pamiętam, mieliście w planie podróż na Karaiby?

- Chciałam z tobą o tym wcześniej porozmawiać. - Lucy usiadła głębiej i wypła duży łyk herbaty. - Nie możemy pojechać.

- Och, Lucy! - Zielone oczy Virginii ściemniały. Zesztywniała, z zaniepokojeniem wpatrując się w twarz bratowej. - Tak cieszyliście się na ten wyjazd! Czy to z powodu dziecka? A może z powodu kryzysu w firmie?

Lucy skrzywiła się.

- I jedno, i drugie. Charles nie może zostawić taty samego z tym wszystkim. A ja chyba zbyt beztrosko uznałam ciążę za naturalny stan organizmu. Biedny doktor Newne aż podskoczył, kiedy przypadkiem wspomniałam, że zamierzam polecieć na Karaiby! Nawet gdybym była dopiero w drugiej połowie ciąży, nie wytrzymałabym ośmiogodzinnego lotu. Mam objawy zatrucia ciążowego...

- Lucy! Ty głuptasie! Przecież, kiedy rezerwowałaś bilety, powinnaś była sprawdzić, w jakim okresie ciąży wypadnie lot.

Lucy śmiejąc się wzruszyła ramionami. Virginia spoważniała i spojrzała na bratową z nie ukrywanym niepokojem.

- Zatrucie ciążowe? To brzmi poważnie. Czy nie powinnaś być w szpitalu lub pod jakąś specjalną opieką?

- To nic strasznego. - W niebieskich oczach Lucy zabłysło rozbawienie.

- Jednak brzmi poważnie.

- Nie denerwuj się. Przypominam ci, że ciąża jest zupełnie naturalnym stanem. Nie wolno mi tylko lecieć odrzutowcem na Karaiby. I tu wracamy do sedna sprawy. Charles i ja chcemy, żebyś pojechała zamiast nas.

- Ja? - Virginia otworzyła ze zdumienia usta. Szeroko otwartymi oczami z niedowierzaniem wpatrywała się w Lucy. - To absurdalny pomysł...

- Dlaczego? Odpoczynek na pewno ci się przyda. Włożyłaś tyle wysiłku, żeby nie stracić roku nauki. Po powrocie do domu wyglądasz jak śmierć na chorągwi...

- Piękne dzięki.

- Dziesięć dni na wyspie Santa Lucia, pływanie w kryształowych wodach Morza Karaibskiego...

- Pływanie w czym? - parsknęła śmiechem Virginia.

- Cytuję tylko prospekt biura podróży - roześmiała się Lucy. - Ale poważnie mówiąc, pomyśl o tym, Virgie. Powinnaś wrócić do formy. Jeśli chcesz znać prawdę, to Charles, ojciec i ja na serio niepokojymy się o ciebie. Tak bardzo schudłaś, kochanie. Wiem, że dyplom znaczy dla ciebie bardzo wiele, ale mimo swojej pracowitości mogłabyś pozwolić sobie na jakiś odpoczynek...

- Nie mogę rzucić wszystkiego i zniknąć, zostawiając was z tym całym kramem - zaprotestowała Virginia.

- Nie możesz? - Lucy uniosła pytająco brwi. - A co dobrego możesz zrobić płacząc się tu i zadręczając siebie i innych. Jesz, jakbyś była chora na anoreksję, cierpisz na okropne bóle głowy... Jeśli kłopoty Chesterów nie dają ci spokoju i jeśli rzeczywiście myślisz, że mogłabyś nam pomóc, trochę wypoczynku da ci siłę do walki!

- Walka jest ostatnią rzeczą, na którą miałabym teraz ochotę. - Virginia skrzywiła się. - To znaczy, psychicznie jestem na nią gotowa, ale fizycznie czuję się marnie. Z drugiej strony, wakacje na Karaibach... Chociaż i tak nie stać mnie na to.

- Nie myśl o kosztach. Willa jest zarezerwowana. Charles może anulować swoją rezerwację lotu, a ja przepiszę moją na ciebie. Wyobraź sobie dziesięć dni w kojącym tropikalnym klimacie na Wyspach Karaibskich. Wiatry wiejące od oceanu zapewniają doskonałą klimatyzację - recytowała Lucy, używając języka

prospektów turystycznych. - To jest właśnie to, czego potrzebujesz, aby pozbyć się tej okropnej mononukleozy na zawsze! A willa Guya to szczyt luksusu. Jest z niej widok na Zatokę Marigot i ma...

- Willa Guya? - Virginia zmrużyła gwałtownie oczy. - Jakiego Guya?

Na twarzy Lucy pojawił się dziwny wyraz, który momentalnie zniknął. Virginia zaś dopytywała się dalej ze złowróżbnym spokojem.

- Mam nadzieję, że nie chodzi tu przypadkiem o Guya Sterna, którego czciliśmy właśnie na zebraniu zarządu?

- A gdyby nawet, to co? - Lucy, zazwyczaj spokojna, była wyraźnie rozgniewana. - Jakie to ma znaczenie, kto jest właścicielem willi?

- Chodzi o zasady...

- Zasady! - zachnęła się Lucy. - Naprawdę, sama już nie wiem, kto jest bardziej uparty, ty czy twój ojciec! Willa jest wolna, a ty masz szansę zamieszkać w niej podczas dobrze zasłużonych wakacji. Jeśli masz zamiar być taka skrupulatna co do zasad, jak je nazywasz, to wiedz, że praktycznie każdy właściciel prywatnej willi ma kupę pieniędzy. Czy naprawdę jest to powód, żeby jej nie wynajmować?

- Już dobrze, uspokój się. W twoim stanie nie powinnaś się denerwować - odparła z wymuszonym uśmiechem Virginia, widząc rozpalone policzki bratowej.

- Wiem, Virgie, ale na miły Bóg, co ty masz przeciwko Guyowi? Nawet go nie znasz. - Lucy przerwała i przyjrzała się jej badawczo. - Tak czy nie?

- Nie znam i nie mam najmniejszej ochoty poznawać. Nie mogę po prostu znieść tych bubków o wygórowanych ambicjach, którzy myślą tylko o zyskach, najnowszym modelu BMW i o tym, skąd pochodzi ich następna dwuipółlitrowa butelka bollingera!

- Guy jest przyjacielem Charlesa i porządnym człowiekiem! - Lucy odgarnęła z czoła płowe loki, a ton dezaprobaty w jej głosie wskazywał, że uznaje takie uprzedzenia za dowód niedojrzałości.

- Porządnym? - Virginia wygładziła miękkie fałdy sukienki, walcząc z narastającą złością. - O tak, „porządnym” w ścisłym znaczeniu tego słowa. Tak porządnym w interesach, że, jak powszechnie wiadomo, zawsze porządnie doprowadza je do końca, ograbiając innych z majątku!

- Virgie, o czym ty mówisz?

- Mówię o Guyu Sternie, ze Schreider Stern Incorporation. A ty? W college'u pewien chłopak mi o tym opowiadał. Wujek tego chłopaka miał firmę, ale wpadła ona w szpony spółki Sterna i została unicestwiona!

- To chyba lekka przesada - zaprotestowała Lucy.

- Wcale nie. Ta firma miała w pewnym momencie niewielkie kłopoty finansowe i liczyła na poradę, jak przyciągnąć trochę kapitału inwestycyjnego, a już po chwili okazało się, że ich majątek został sprzedany korporacji, dyrektorów wylano, a robotnicy też byli niepotrzebni. Z dnia na dzień przestała istnieć. To jest właśnie typowe działanie Guya Sterna - jego jedynym celem jest zysk. Gwiżdżę na ludzi, którzy pną się do celu po trupach!

- Ależ to tylko plotka! Nie sądzisz chyba, że Charles prosiłby Guya o pomoc, gdyby uważał go za finansowego rekina. Na pewno przesadzasz!

Virginia spojrzała w sufit.

- Lucy, kochana, możesz sobie być o pięć lat ode mnie starszą mężatką w ciąży, ale poważnie się zastanawiam, która z nas jest bardziej łatwowierna i naiwna.

- Pamiętaj, że to nie ja poprosiłam Guya, aby uwolnił nas od kłopotów, lecz Charles i twój ojciec. Czy ich też uważasz za naiwnych i łatwowiernych?

Virginia wstała gwałtownie, oddychając głęboko, aby się uspokoić.

- Nie - powiedziała. - Nie uważam. Mężczyźni starej daty, bojący się spojrzeć prawdzie w oczy. - Typowe ofiary losu, dodała w myślach. Czy jej rodzina naprawdę wyobrażała sobie, że zainteresowanie Guya Sterna firmą Sarah Chester będzie czysto altruistyczne? Że postawi ją na nogi bezinteresownie, nie ingerując w strukturę firmy i jej system zarządzania?

Ujrzała jednak w błękitnych oczach zawsze życzliwej i serdecznej Lucy tyle zranionych uczuć, że poczuła się zawstydzona.

- Przepraszam. Zachowuję się obrzydliwie, nie powinnam cię denerwować.

- W takim razie popraw mi humor i przestań się targować. Czy zdecydujesz się wreszcie i polecisz na Santa Lucię? - spytała Lucy.

- Pomyślę o tym - powiedziała Virginia. - Naprawdę pomyślę - dodała śpiesznie.

- Powinnaś. A jeśli odmówisz z powodu uprzedzenia do człowieka, którego nawet nie znasz, to wiedz, że jesteś fanatyczką, Virginio Chester! Poza tym, rodzina, bądź co bądź, nie jest na zasiłku. Chesterowie mogą mieć problemy z firmą, ale zawsze mieli pieniądze, zawsze byli dość zamożnymi posiadaczami ziemskimi, jeszcze zanim twoi dziadkowie zaczęli produkować wzorzyste tkaniny!

Virginia odwróciła się do Lucy, ale ta spoglądała w zamyśleniu przez okna oranżerii na wypielegnowane trawniki i wysokie przyszczyżone żywopłoty.

Nieoczekiwanie ogarnęły ją wątpliwości. Przy jej obecnym stanie zdrowia perspektywa jakichkolwiek wakacji, nie mówiąc już o Karaibach, to propozycja, której trudno się oprzeć. W ostatnim czasie doznała także poważnych przeżyć - ze smutkiem przypomniawszy sobie nieprzyjemne zakończenie znajomości z Mortimerem Harrisonem i poprzedzający je wstrząs wywołany śmiercią matki...

Dwa punkty mocnego życiowego oparcia usunęły jej się spod nóg. Matka była jej najlepszą przyjaciółką i powiernicą, prawdziwie bratnią duszą. Mortimer okazał się zdrajcą, boleśnie zawiódł jej zaufanie.

- Nie musisz martwić się, że Guy wprowadzi jakieś zmiany w firmie, gdy ciebie tu nie będzie - dodała uspokajająco Lucy. - Kiedy Charles zadzwonił do niego, by mu powiedzieć, że jednak nie pojedziemy, okazało się, że Guy właśnie wyjeżdża w interesach. Nie zwoła nowego zebrania zarządu przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie.

Virginia patrzyła na bratową wzrokiem nie zdradzającym żadnych uczuć.

- Kiedy mieliście lecieć?

- W niedzielę, więc lepiej zacznij się pakować i nie zapomnij peleryny, bo zbliża się pora deszczowa...

- Jeszcze nie powiedziałam, że jadę.

- Wiem. Ale przynajmniej przestałaś mieć wątpliwości, a to już połowa sukcesu.

Cztery dni później, na Santa Lucii, jednej z wysp na Morzu Karaibskim, oszołomiona Virginia popijała sok pomarańczowy, siedząc na tarasie stylowej willi Guya Sterna i wdychając upojne zapachy nieznanymi egzotycznymi roślinami i kwiatów. Było dopiero popołudnie, o czym musiała sobie ciągle przypominać, bowiem jej zegar biologiczny uparcie wskazywał na porę snu.

Kiedy rano wchodziła na pokład boeinga, zadawała sobie pytanie: dlaczego, u licha, dałam się namówić? Było to niemądre, ponieważ świetnie wiedziała, dlaczego. Kuszące opowieści Lucy o kołyszących się palmach i białych plażach zachwiały równowagę między poczuciem obowiązku a tęsknotą za odrobiną niczym nie zakłóconego odpoczynku. Również tata i Charles przekonywali ją tak gorąco, że poczuła się prawie dotknięta ich chęcią pozbycia się jej z domu. Teraz, gdy znalazła się w miejscu, gdzie było tyle do zobaczenia, niecierpliwili ją jej kiepski stan zdrowia. Pragnęła jak najszybciej pozbyć się zmęczenia i zabrać się do zwiedzania. Zmrużyła oczy, walcząc z wyczerpaniem, które ogarnęło ją już w Gatwick i narastało stopniowo podczas podróży.

Było wilgotno i gorąco. Coraz bardziej odczuwała trudy długiego lotu i niewygodnego dojazdu wyboistą drogą z lotniska nad Zatokę Marigot.

- Czy to naprawdę jest główna szosa? - dopytywała się, gdy jadąca z szaloną prędkością taksówka zaczęła podskakiwać na wybojach. Kierowca nazywał się Noble Soloman i był przyjaznym człowiekiem, śmiejącym się tak zaraźliwie, że nigdy dotąd nie spotkała się z czymś takim. Jego pojazd był podobno taksówką, ale Virginia miała co do tego poważne wątpliwości. Była to

jaskrawopomarańczowa furgonetka, wyłożona imitacją skóry tygrysa i rozbrzmiewająca bez przerwy ogłuszającą muzyką calypso.

- Oczywiście, to jest Szosa Zachodnia - odpowiedział z dumą w głosie.

- W takim razie cieszę się, że nie muszę jechać polną drogą - zażartowała.

- Santa Lucią jest naprawdę piękną wyspą - dodała, aby go nie urazić.

- Ta wyspa to Helena Indii Zachodnich. Anglicy i Francuzi walczyli o nią tak, jak Rzymianie i Grecy o Helenę Trojańską - opowiadał.

Wierzyła w to. Nawet jeżeli Francuzi i Anglicy walczyli ze sobą ze względów strategicznych, a nie estetycznych. Oglądany w pędzie krajobraz był zachwycający - bananowce i palmy kokosowe, przejrzysta woda i biały piasek, podniecająca zieleń na tle błękitu i srebra. Ale oprócz ekskluzywnych enklaw przeznaczonych dla turystów, Virginia dostrzegała tam również biedę. Małe chatki, kobiety piorące w rzece, mężczyźni z maczetami - to wszystko w uderzający sposób kontrastowało z lśniącymi hotelami w uroczych zatoczkach. Ich bramy wjazdowe zdawały się wyznaczać granicę między światem turystów a światem tubylców.

Zatoka Marigot należy niewątpliwie do tego pierwszego świata, pomyślała Virginia, sącząc sok pomarańczowy i upajając się jego chłodną cytrusową goryczą.

Białe maszty jachtów ustawionych przy nabrzeżu lśniły w słońcu. Porośnięte bujną roślinnością pagórki otaczające zatokę usiane były czerwonymi i pomarańczowymi kwiatami. Wspaniała willa Guya Sterna stała samotnie na półkolistej plaży. Ozdabiały ją pędy purpurowych i wiśniowych bugenwilli. Miała białe zimne ściany kryte dachówką z terakoty. Wewnątrz było chłodno i spokojnie. Podłoga ogromnego holu wejściowego wyłożona była kamiennymi płytami koloru miodu. Wewnątrz znajdowało się wiele ciemnych, rzeźbionych drzwi, a ustalenie, co się za nimi kryje, zostawiła sobie na potem...

Willi „Koliber” - tropikalna kryjówka Guya Sterna!

Virginia oderwała wzrok od olśniewającego widoku turkusowej wody i rozkołysanych palm. Może na tej wyspie nie jest to jeszcze pora snu, ale ona postanowiła po chłodnym drinku wziąć zimny prysznic, a następnie zapaść w bardzo długi sen. Jednak, pomimo wyczerpania, zwyciężyła ciekawość otoczenia. Było coś dziwnie nieprzyzwoitego i ekscytującego w swobodnym poznawaniu upodobań innej osoby.

Podczas pobieżnego zwiedzania willi odkryła liczne sypialnie, ogromny salon z jadalnią na podwyższeniu i owalny, błękitnie połyskujący basen za dużymi oszklonymi drzwiami.

Czy Guy Stern osobiście wybierał meble i tkaniny? Niechętnie przyznawała, że kolorystyka i wzory tkanin zasługiwały na pochwałę. Ktoś, kto zajmował się dekoracją wnętrz, subtelnie zestawiał blade odcienie kojącej żółci z morskim błękitem. Efektem była wspaniała gama zmysłowych barw: od tętniącego życiem kobaltowego błękitu do chłodnego fioletu, od czystej słonecznikowej żółci do ciepłych odcieni melona. Okna ozdabiała jedwabne zasłony w kolorze słomy.

Przyjrzała się dokładnie książkom w biblioteczce. Znalazła kilku klasyków - Tolstoja i Trollopa, Fitzgeralda i Henry'ego Jamesa, a nawet coś Sartre'a i Camusa. Ponadto dużo książek o żeglarstwie, sztuce, muzyce i balecie. Zrezygnowała z oceny osobowości Guya Sterna na podstawie jego lektur, jakoś nic z nich nie wynikało.

Przesunęła powoli ręką po szorstkiej tkaninie wiszącej na ścianie, częściowo tkanej, częściowo zszytej z kawałków. Miała surowy wiejski wdzięk. Oglądała z uwagą trzcinowe i bambusowe meble, piękne obrazy utrzymane w stylu Van Gogha lub Gauguina, dziwne afrykańskie rzeźby z gładkiego drewna w kolorze miodu, zdobione motywami owoców i liści. Czy głośny biznesmen z City osobiście wybierał te przedmioty sztuki ludowej? To możliwe, przyznała, że bezwzględne niszczenie życia innych ludzi nie zajmuje mu wszystkich trzystu sześćdziesięciu pięciu dni w roku. Nawet łupieżcy czasem odpoczywają.

Poczuła się nagle nieswojo. W tej willi zmieściłoby się i dziesięć osób. Trzeba przyznać, że Charles i Lucy umieją sobie dobierać przyjaciół. Po sposobie urządzenia wnętrza można było wnioskować, że właściciel willi jest człowiekiem biorącym z życia to, co najlepsze, i nie przejmującym się zbytnio, jak zdobyć na to pieniądze.

Rozprawiwszy się ostatecznie z nieobecnym, tajemniczym, lecz na pewno odrażającym Guyem Sternem, zawróciła i ponownie obejrzała sypialnię. Wybrała największą, z rozległym widokiem na drugi brzeg zatoki. Przyległa łazienka wyposażona była w prysznic, miękkie ręczniki koloru banana i pachnące tymiankiem kremowe mydło. Namydliła się powoli, stojąc pod odświeżającymi strugami wody, pieszczącej jej lepkie od potu, rozpalone ciało, przywracającej wrażliwość zmysłom. Włosy, uwolnione od podtrzymującej je opaski, opadły czerwonożółtą falą na jej plecy. Mogła je wreszcie umyć swym ulubionym ziołowym szamponem. W końcu niechętnie wyszła spod prysznica, owinęła się jednym ręcznikiem, a drugim zawinęła włosy.

W sypialni cicho szumiał wentylator. Zaciągając ciężkie krzakiaste zasłony, pozwoliła ręcznikowi zsunąć się na podłogę. Wyciągnęła się na łóżku, na miękkiej błękitnozłocistej narzucie, ziewnęła przeciągle, wreszcie ułożyła się na plecach, rozrzucając swobodnie ręce i nogi.

Później. Później się rozpakuje, później będzie zwiedzać Zatokę Marigot, zorganizuje sobie kolację... Później przyjdzie pora na podniecenie i zachwyty, ale teraz, po dziesięciu godzinach podróży, była zupełnie wykończona. Trzeba odpocząć...

Po jakimś czasie przebudziła się raptownie i przez parę chwil zupełnie nie mogła dojść do siebie. Wszędzie panowały ciemności. Mogła prawie słyszeć własne myśli, krążące chaotycznie w jej głowie niczym w obwodach komputera. Szukała czegoś znanego, by ustalić miejsce swego pobytu.

Wreszcie wróciła jej pamięć: willa, zaśnięcie... Oparła się na łokciu, uświadamiając sobie nagle, że coś jest nie w porządku. Ciemność i szum

wentylatora zdawały się wypełniać sypialnię... Ale przedtem słyszała coś jeszcze. Obudziło ją coś innego. Nasłuchiwała, nie w pełni jeszcze rozbudzona, czując narastające z niepokoju bicie serca.

Ktoś chodził po domu.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić - wstać z łóżka i okryć się ręcznikiem, chwycić coś, czym mogłaby się bronić - drzwi sypialni otworzyły się i zabłysło światło.

Minęło kilka sekund, nim otrząsnęła się z szoku, i z okrzykiem oburzenia poderwała się na kolana, ściągając z łóżka narzutę, aby okryć swą nagość. Kuląc się za tą osłoną, oniemiała z przerażenia, wpatrywała się w ciemnowłosego, wysokiego i atletycznie zbudowanego mężczyznę, stojącego w drzwiach z marynarką nonszalancko zarzuconą na ramię. Z ciemnej twarzy o ostro zarysowanym podbródku patrzyły na nią szare oczy, w których czaiło się nie skrywane rozbawienie.

- No, no, Królowna Śnieżka, jak sądzę? - Głos był niski i matowy, brzmiała w nim wyraźna nuta kpiny.

Oblała się rumieńcem, starając się jakoś owinać narzutą, aby nie dać temu typowi jeszcze jednej okazji do drwin. Ręcznik zsunął jej się z włosów, a wilgotne złotorude sploty przesłoniły oczy. Nie mogła znieść myśli o tym, że została przyłapaną nago, w zdecydowanie zbyt swobodnej pozie.

- Słucham? - spytała trzęsącym się z wściekłości głosem.

- „Kto spał w moim łóżeczku, zapytał krasnoludek”, czy nie tak to szło? - kpił dalej.

- W pańskim łóżku? - Czując suchość w gardle z niesmakiem wpatrywała się w intruza. - Pan Stern?

- We własnej osobie. - Zrobił krok w jej stronę i wyciągnął rękę z wystudiowaną uprzejmością. Virginia zacisnęła mocniej palce na narzucie. Serce waliło jej jak oszalałe. - I jeśli nie jest pani jedną z tych tak zwanych masażystek - tu podszedł do łóżka i przysiadłszy na jego skraju kontynuował

obojętnym tonem - w co wątpię, skoro tak cnotliwie się pani zakrywa, to może zechciałaby mi pani wyjaśnić, kim pani właściwie jest?

ROZDZIAŁ DRUGI

Rzadko zdarzało się, aby Virginia nie wiedziała, co ma powiedzieć. Ale tym razem połączenie zakłopotania, zaskoczenia i jeszcze jakichś nie nazwanych, choć niepokojących odczuć, sprawiło, że jej protesty sprowadziły się początkowo do zduszonego pisku.

- Virginia Chester - wycedziła wreszcie tonem, który dla jej bliskich byłby poważnym sygnałem ostrzegawczym. - Może jest to pańska willa i pańskie łóżko, ale gdyby miał pan choć trochę dobrych manier, wyszedłby pan stąd natychmiast i pozwolił mi się ubrać!

Ciemna twarz Guya Sterna miała w sobie jakiś rys siły i doświadczenia życiowego, co w nieokreślony sposób uniemożliwiało wyczytanie z niej czegokolwiek. Trudno było powiedzieć, o czym myśli.

- Niestety, manier nie mam żadnych - powiedział wreszcie, prostując swą wysoką postać. Sięgnął do guzików koszuli, z oczywistym zamiarem rozebrania się na jej oczach.

Dreszcz strachu przebiegł po plecach Virginii.

- Co pan robi? - spytała trzęsącym się głosem.

- Jestem zmęczony i spocony. Jest mi gorąco i mam zamiar wziąć prysznic - odparł niedbale. - Jeśli ma pani zamiar tu zostać, radziłbym przenieść bagaże do innej sypialni.

Zrzucona koszula odsłoniła muskularny męski tors z obfitym kędzierzawym zarostem. W kącikach jego pełnych ust pojawił się cień uśmiechu, gdy przyłapał jej spojrzenie. Mógłby być nawet pociągający, gdyby

się czasem golił. I gdyby nie był takim gburem, pomyślała z wściekłością Virginia.

Zaczął rozpinąć pasek od spodni, pozbywszy się już butów i skarpetek. Virginia w bezsilnej furii schyliła się po wilgotny ręcznik i owinawszy się nim, obrzuciła mężczyznę tak zabójczym wzrokiem, że nagle wybuchnął śmiechem.

- Wszystko w porządku, nie podglądam - zapewnił, pokazując białe zęby.
- Nie muszę, widziałem już wystarczająco dużo. Aha, przy okazji: pani cencie nic z mojej strony nie grozi. - Spodnie powędrowały w ślad za marynarką na oparcie fotela. Został teraz jedynie w szarobiałych, bokserskich spodenkach. Virginia przytrzymała kurczowo ręcznik, w niemym zdumieniu patrząc - wbrew sobie - na najbardziej imponujące męskie ciało, jakie w życiu widziała. Nieproszony gość miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a jego skóra matowy oliwkowy odcień. - Nie rzucam się na rude - wyjaśnił.

- Jeśli jeszcze coś pan zdejmie, zanim wyniosę stąd walizki, dzwonię na policję! - powiedziała z udanym spokojem.

- W porządku, poddaję się. - Uniósł ręce, parodiując gest poddania, a w jego szarych oczach pojawiło się rozbawienie. - Z moją kryminalną przeszłością oznaczałoby to koniec kariery! Ale proszę zważyć, że będzie pani niesłusznie pokrzywdzona. Ja widziałem pełnię pani wdzięków, powinienem więc w zamian odkryć własne.

- Chyba ma pan przesadne wyobrażenie o swoich wdziękach! - wymamrotała purpurowa na twarzy Virginia, przesuwając nogą walizkę w stronę drzwi, gdy tymczasem jej ręka po omacku próbowała dosięgnąć klamki. - Zdaje się, że świetnie się pan bawi, ale, szczerze mówiąc, dla mnie ta sytuacja jest cholernie krępująca!

Wreszcie dotarła do bezpiecznej przystani korytarza; trzasnęła drzwiami i chwyciwszy walizkę pomaszerowała do możliwie najodleglejszej sypialni. Gdy się wreszcie w niej zamknęła i oparła plecami o drzwi, uświadomiła sobie, że cała drży. Uspokój się, nakazał jej wewnętrzny głos, gdy sztywnym krokiem

przeszła przez pokój, by osunąć się na pokryty jedwabiem taboret przed toaletką. Uspokój się i nie zachowuj się jak średniowieczna mniszka. Spróbuj dostrzec komizm tej sytuacji. Ten wstrętny Guy Stern już to zrobił i teraz z pewnością zwija się ze śmiechu pod prysznicem.

Ale, choć bardzo się starała, nie mogła się śmiać. Była zbyt wściekła. To jasne, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. Albo Stern specjalnie tu przyleciał, żeby zakłócić jej samotne wakacje - co wydawało się mało prawdopodobne - albo też Charles i Lucy zapomnieli poinformować go, że zamiast nich przyjedzie Virginia. Jeśli tak było, to możliwe, że Guy Stern zdecydował się w ostatniej chwili na urlop, sądząc, że willa jest pusta.

Tak, to najbardziej prawdopodobne. Charles ma teraz masę kłopotów - z ciężką Lucy, z nadciągającym kryzysem firmy... Nigdy nie miał dobrej pamięci, za to miał skłonność do tracenia głowy w trudnych sytuacjach.

Ale co, u licha, ma ona teraz zrobić? Nadrabiać miną, czy też zmienić rezerwację i wracać jutro do domu? Poszukać innego lokum, może za pośrednictwem jakiegoś biura turystycznego? To byłoby chyba kosztowne, a wszystko, czym dysponowała, to pieniądze na drobne wydatki. Ale czy naprawdę mogłaby spędzić nawet jedną noc pod wspólnym dachem z tym aroganckim rozpustnikiem?

Otworzyła walizkę i zaczęła szukać czegoś do ubrania. Wyprostowała się wkładając jedwabne figi i wtedy kątem oka dostrzegła swój obraz w dużym, wiszącym na ścianie lustrze. Znieruchomiała i jęknęła z rozpacz. To było takie poniżające! Wpatrywała się w swoje odbicie: splątane włosy opadały jej na oczy, była blada i zbyt szczupła, za to jej pełne, wysoko osadzone, uwieńczone brunatnozłocistymi sutkami piersi harmonizowały z zaokrągleniem bioder.

Nie była pewna, co jest właściwie gorsze - czyjeś nie skrywane pożądanie czy kpiny, których właśnie stała się przedmiotem. Jedno i drugie jest okropne, stwierdziła z goryczą.

Szybko włożyła spódnicę i bluzkę bez rękawów. Spódnica uszyta była z materiału, którego wzór sama zaprojektowała. Były na nim brzoskwinie i kiście winogron oplecione liśćmi o różnych kształtach. Wsunęła stopy w skórzane sandały z plecionych paseczków i ponownie spojrzała w lustro. Tak, mogła się już pokazać. Prawie. Jeszcze włosy. Przeciągnęła po nich dłonią - były prawie suche. Wyszczotkowała je i odrzuciła do tyłu puszystą czerwonożółtą falę. Nie warto nawet próbować coś teraz z nimi robić, zawsze po umyciu były trudne do okiełznanania, jutro jakoś się ułożą. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze z zaciętym wyrazem twarzy, gotowa do walki.

Znalazła wyjście z sypialni prowadzące na taras. Oparła się o balustradę i wpatrywała w usianą srebrnymi gwiazdami ciemność, oszołomiona jej nieoczekiwanym pięknem.

- Prawdziwy sen nocy letniej - odezwał się ktoś półgłosem za jej plecami. Poderwała się, zaskoczona.

Guy Stern podszedł i oparł się o balustradę obok niej. Ubrany był teraz w białe płócienne bermudy i czarny luźny podkoszulek. Ciemności nie pozwalały zobaczyć jego twarzy, była jednak pewna, że gości na niej kpiący uśmiech. Sztywniejac wyprostowała się. Jego bliskość była niepokojąca.

- Nie przypuszczałabym, że jest pan miłośnikiem Szekspira - powiedziała spokojnie, niepostrzeżenie odsuwając się od niego. - Ale jeśli już lubi pan się do niego odwoływać, to bardziej na miejscu byłoby to, co mówi o nieproszonych gościach, którzy są najmiłsi, gdy odchodzą.

Błysk zapalniczki oświetlił jego ciemną twarz. Dym cygara zmieszał się z egzotycznymi woniami nocy. Milczeli zadumani.

- Interesująca odpowiedź. - Intensywnie wpatrywał się w jej twarz. - Jest pani inteligentna, ale przewrażliwiona i niepewna siebie. Co pani powie na taką analizę osobowości?

- Interesująca - odpowiedziała z przekąsem - ale arogancka.

- W porządku, wygrała pani. - Parsknął śmiechem. - I jak wszystkie kobiety oczekuje pani przeprosin. Proszę bardzo... - Wyprostował się i lekko skłonił. - Przepraszam za nieoczekiwane wtargnięcie i odkrycie pani, wspaniale rozebranej w moim łóżku. Przepraszam, że wyprosiłem panią, gdy chciałem wziąć prysznic, to był wielki nietakt z mojej strony.

Czuła, jak znów zaczynają ją palić policzki. Te „przeprosiny” okazały się jeszcze bardziej upokarzające niż sam incydent.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała chłodno.

- To może okazać się trudne. - Zaśmiał się. - Widok był bezsprzecznie niezapomniany.

- Na litość boską, niech pan wreszcie przestanie!

- Twarda z pani sztuka, młoda damo.

- Nie jestem twarda...

- Nie? - Uśmiechnął się ostrzegawczo, wyrzucił niedbale niedopałek i przysunął się do niej. - Robi pani wrażenie małej, zawziętej Feministki, pogardzającej mężczyznami. Uważa ich pani za gwałcicieli - wszystkich, co do jednego.

- Nie zależy mi na tym, co pan o mnie myśli - powiedziała drżącym głosem, wściekła na siebie za to, że mimowolnie reaguje na emanującą z niego męskość. - Niech się pan nie martwi, nie zamierzam tu zostać i pozwolić się dalej obrażać. Pójdę do hotelu po drugiej stronie zatoki i sprawdzę, czy nie mają wolnego pokoju...

Ruszyła, lecz chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Hej, spokojnie. Nie ma potrzeby szaleć po nocy. Wyjaśnijmy lepiej do końca sytuację... Jest pani Virginią Chester, małą siostrą Charlesa?

- Zgadza się. - Dlaczego, na Boga, serce waliło jej jak po długim biegu? Czy tylko dlatego, że ten wstrętny typ trzyma ją za ramię?

- I Charles zapomniał uprzedzić mnie, że pani przyjedzie zamiast niego...

- Na to wygląda. Proszę posłuchać, naprawdę jest mi przykro... Wyrwał się pan na krótki odpoczynek i zastał intruza w swoim domowym zaciszu. Rozumiem pana zdenerwowanie. Jeśli można, przenocuję tu dzisiaj, a jutro poszukam sobie czegoś innego.

- Proszę tego nie robić. Wcale nie jestem zły. Byłem po prostu zgrzany, brudny i... zaskoczony. Wiem, że mam specyficzne poczucie humoru, moi przyjaciele zawsze się na to skarżą.

- Pan ma przyjaciół? - Spojrzała znacząco na jego rękę na swoim ramieniu. Cofnął ją i uśmiechnął się.

- Paru. Czy jeśli obiecuję, że nie będę pani dokuczał, pójdzie pani ze mną na kolację?

Miała już na końcu języka, że wolałaby raczej pójść na kolację z węzłem, ale powstrzymała się. To wszystko było farsą, pomyślała, ale lepiej nie tracić nad nią kontroli. Jest dostatecznie dorosła, by przyjąć rękę wyciągniętą do zgody, nawet jeśli wyciągano ją z ironią. Poza tym musiała brać pod uwagę zaangażowanie tego nieznośnego człowieka w sprawy firmy... Jeśli nie opanuje się i da upust swoim prawdziwym uczuciom, czy nie zaprzepaści w ten sposób nadziei Charlesa na pomoc Guya?

Lekko wzruszyła ramionami i spojrzała w rozgwieżdżone niebo.

- W lodówce jest coś do jedzenia - rzekła po chwili. - Miałam zamiar zrobić sobie jakąś kanapkę i pójść wcześniej spać. Tak więc zdecydowanie nie musi pan czuć się zobowiązany do zapraszania mnie na kolację.

- Kiedy pozna mnie pani bliżej, zrozumie pani, że poświęcanie się nie leży w mojej naturze.

Nie, przyznała w duchu, idąc do sypialni po żakiet i torebkę, to na pewno nie leży w jego naturze. W osobowości Guya Sterna dbałość o własne dobro zdecydowanie wybijała się na plan pierwszy. Nie byłoby jednak rozsądnie dąsać się na niego. Gdyby udało jej się być uprzejmą dla tego człowieka, może dowiedziałaby się, jakie ma plany wobec jej rodziny. Virginia miała mgliste

pojęcie o zwyczajach finansowych rekinów. Czy to, że Guy Stern przyjechał tu na urlop, oznacza, że mimo wszystko nie uważa kłopotów firmy Chesterów za zbyt poważne?

W garażu znalazł się jeep i w końcu ruszyli wyboistą drogą w dół, do restauracji nad morzem. Zdenerwowana i zażenowana siedziała z gołymi nogami, prawie dotykając brązowego, masywnego uda Guya. Nie mogła oderwać wzroku od pracy jego mięśni, gdy poruszał nogą podczas zmiany biegów. Odetchnęła dopiero, gdy wysiedli z samochodu i weszli do przytulnej restauracji.

Okolica była niezwykle romantyczna. Z oddali dobiegał szelest palm, rzewne dźwięki muzyki calypso, trzask linek uderzających o maszty jachtów. Virginia w nagłym przypiływie złości pomyślała znowu o Mortimerze. Nie pragnęła wcale, aby był z nią tutaj. Przeciwnie, byłaby szczęśliwa nie widząc go już nigdy w życiu. Myślała jednak o tym, jak to powinno było wyglądać. Ceniła tę przyjaźń i wierzyła w nią. Wszystko rozleciało się, gdy próbował zmusić ją do czegoś, czego nie chciała, czemu nigdy nie będzie potrafiła stawić czoła...

- Wygląda pani na zrozpaczoną - zauważył jej towarzysz. - Mam nadzieję, że to nie perspektywa zjedzenia ze mną kolacji złamała pani serce?

- Z pewnością nie - powiedziała nieco cieplej. - Byłam myślami daleko stąd.

- Czego się pani napije?

Obok nich przemknął kelner z tacą zastawioną szklankami pełnymi apetycznie wyglądającego bursztynowego napoju z lodem i owocami.

- Proszę przynieść dwa takie - zadysponował Stern - a my w tym czasie zdecydujemy się, co będziemy jedli. A więc, panno Chester, na co ma pani ochotę? Mięso? Ryba? Małże? Dania ostre czy łagodne?

- Może być cokolwiek... Ale czy tu jest drogo? - W całym tym zamieszaniu dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej fundusze są ograniczone. Dla Virginii hojna pensja wpłacana przez ojca na jej bankowe konto była

zawsze symbolem kobiecej zależności i dowodem, że nie potrafi sama się utrzymać. Czasem zastanawiała się, czy nie jest zbyt ambitna. Była wdzięczna za finansowe wsparcie podczas nauki, jednak wydawanie pieniędzy na ekstrawaganckie luksusy to była inna sprawa. W najbliższej przyszłości miała zamiar zwrócić swemu ojcu wszystkie pieniądze z procentem. - Nie mam zbyt wiele pieniędzy na te wakacje, więc nie chcę przepuścić wszystkiego na jeden posiłek - wyjaśniła zakłopotana.

W chłodnych oczach Sterna dało się dostrzec zaskoczenie. Córeczka bogatego tatusia bez pieniędzy? - wydawało jej się, że słyszy jego myśli.

- Proszę się tym nie martwić. Co powie pani na langustę w maśle limonowym? Świetnie ją tu przyrządzają. Czy była pani kiedyś na tej wyspie?

- Nie, ale...

- Musi pani spróbować tutejszych owoców i warzyw, aby uwierzyć, że istnieją. Zielone figi, owoce kalalu, słodkie ziemniaki yam...

- Nazywają się oryginalnie, ale czy są smaczne? - Jej twarz była spokojna.

- Proszę spróbować i przekonać się. Przyniesiono drinki. Pijąc powoli, delectowała się kompozycją smaków i zapachów.

- Interesujące - zawyrokowała. Bardzo nie chciała wyglądać na naiwne dziewczę oszołomione egzotycznym przepychem. Wybrała krewetki z jarzynami smażone w głębokim tłuszczu i spojrzała na Guya z determinacją. - Nawiasem mówiąc, zawsze płacę za siebie, bez względu na to, z kim jestem. Dziś oczywiście nie ma wyjątku.

- Zobaczymy. - Obojętnie wzruszył ramionami i zamówił stek nadziewany langustą. Wpatrywał się w nią intensywnie ponad oświetlonym świecami stolikiem, wprawiając ją tym w zakłopotanie. - Tak więc jest pani siostrzyczką Charlesa. - Jego ton i słowo „siostrzyczka” sprawiły, że znów się Zjeżyła.

- Mam dwadzieścia jeden lat - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła.

- I pracuje pani w rodzinnej firmie?

- Nie. Mam w niej udziały. Dopiero co skończyłam college.

- Jaki?

- Central School of Art. Projektowanie tkanin.

- I co ma pani zamiar dalej robić?

- Chciałabym założyć własną firmę projektową.

Ale co to jest, zgaduj-zgadula? - Nie potrafiła pogodzić się z tym, że tak bardzo niepokoiło ją spojrzenie jego szarych oczu.

- Chciałbym dowiedzieć się o pani czegoś więcej - powiedział w zamyśleniu. - Chociaż biorąc pod uwagę intymny charakter naszego pierwszego spotkania, wiem już całkiem sporo.

- A co na przykład?

Zaczeplenie go okazało się nierozsądne, w jego oczach światowca znowu błysnęła kpina.

- Na przykład... No cóż, wiem przynajmniej, że jest pani autentycznie ruda. - Roześmiał się bez skrępowania widząc, jak się rumieni.

Virginia kipiała w środku. Nie potrafiła zachować uprzejmej rezerwy wobec tego człowieka, był po prostu zbyt bezczelny!

- Proszę mi coś powiedzieć, panie Stern. Ile ma pan właściwie lat?

- Trzydzieści dwa. - Znowu się roześmiał. - Jestem zdecydowanie dorosły.

- Niech pan nie robi z siebie durnia! - zawołała wściekła. - Myśli pan, że jest pan dorosły? Z tymi wszystkimi złośliwymi uwagami i dwuznacznymi aluzjami? I to tylko dlatego, że zobaczył mnie pan bez ubrania!

Ze złości mówiła głośniej, niż zamierzała. Para siedząca przy sąsiednim stoliku odwróciła się w ich stronę z zaciekawieniem. Virginia wypila solidny łyk koktajlu i uświadomiła sobie nagle, że w jego owocowym smaku czai się zdradliwa moc alkoholu.

Guy Stern z trudem opanowywał rozbawienie. Przyglądała mu się przez oświetloną świecą szklanek i czuła, że tym razem mogłaby się uciec do użycia siły fizycznej.

- Nie chodzi o to, że zobaczyłem panią nago - wyjaśniał cierpliwie, z trudem powstrzymując śmiech - lecz o pani reakcję. Robiła pani wrażenie tak oburzonej...

- Gdyby pan był przynajmniej tak inteligentny jak opóźniona w rozwoju mucha, przyszedłoby panu może do głowy, że po prostu byłam przerażona - powiedziała słodko. - Byłam sama w obcym domu i obudziłam się słysząc czyjeś kroki. Trudno przypuszczać, że w tej sytuacji usiądę na łóżku i powiem: „Proszę wejść. Czy my się przypadkiem nie znamy?”

Rzucił okiem na talerz, na którym właśnie zjawiała się potrawa roztaczająca wokół apetyczne zapachy, po czym podniósł wzrok na Virginie. Tym razem nie było w nim ironii.

- Przyjmuję naganę. Przykro mi, jeśli panią wystraszyłem. Krewetki czekają na panią - powiedział miękko, wskazując na jej nakrycie.

Jedzenie było znakomite. Znowu zapadła pełna zakłopotania cisza. Jedli w milczeniu, a gdy zjawiał się kelner z butelką białego kalifornijskiego wina i Guy Stern napełnił jej kieliszek, była zbyt pogrążona w myślach, aby odmówić.

Virginia obserwowała dyskretnie, jak zręcznymi ruchami nabijał kawałki mięsa na widelec i wkładał je do ust. Nie lubiła go, a jednak zdała sobie sprawę, że czuje się w jego towarzystwie dziwnie poruszona. Jak to nazwać? Było w nim coś nieodparcie pociągającego. Zawstydziła się swoich myśli. Co się z nią dzieje? Dlaczego znowu drży?

To musi być szok związany ze zmianą czasu, powiedziała sobie, nagle zniecierpliwiona. Mój mózg nie funkcjonuje prawidłowo, stąd to napięcie. Z pewnością nie jest to reakcja mojego ciała, pomyślała, wzdrygając się na wspomnienie Mortimera. Nie, stanowczo nie...

Spojrzała z całym obiektywizmem, na jaki ją było stać, na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej. Odprężony, promieniejący spokojną siłą, niewątpliwie prezentował się imponująco. Ale jadła już kolację i z innymi przystojnymi mężczyznami.

Jakby szukając potwierdzenia, powróciła do oceny jego wyglądu. Ciemnooliwkowa cera, gęste, ciemne, proste włosy, zaczesane gładko do tyłu, krótko przycięte nad uszami, mocny szeroki nos boksera. Gęste ciemne brwi nad tymi działającymi na nerwy, głęboko osadzonymi oczami...

Nie, nie było w nim nic specjalnego, zdecydowała z irytacją, choć zapewne należał do ludzi, którzy swym wyglądem wzbudzają respekt. A może gdyby nie wyśmiewał się z niej, tak jak i ze wszystkiego, przebywanie w jego towarzystwie mogłoby okazać się przyjemne?

Ale natychmiast odrzuciła to przypuszczenie. Byłoby to równie przyjemne jak mieszkanie z jadowitym złośliwym wężem.

Stern podniósł nagle głowę i przyłapał jej spojrzenie. Sparaliżowana, przez chwilę nie mogła oderwać wzroku od jego oczu - były tak niewiarygodnie jasne, a ich szarość miała zielonkawy odcień. Przełknęła szybko ślinę i odwróciła wzrok.

- Jak długo zna pan mojego brata? - spytała uprzejmie, czując, że powinna coś powiedzieć.

- Byliśmy razem w Sussex. Poza tym łączy nas zamiłowanie do żeglarstwa.

- Ach, tak. A gdzie pan żegluje?

- Mam jacht w Humble. Czasem biorę udział w regatach.

Virginia skinęła głową. Lucy często wspominała o żeglarskich weekendach Charlesa. A więc to tam znikął.

- Czemu pani pyta? Czy pani też pływa?

- Ja? Prawie wcale... Zastanawiałam się, dlaczego Charles uznał właśnie pana za... za...

Rozbawiony Guy Stern przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Wściekła, patrzyła na w pół pusty kieliszek czując, że w roztargnieniu wypła więcej niż powinna. Tępy ucisk w skroniach zapowiadał kolejny atak bólu głowy sprawiając, że traciła kontrolę nad tym, co mówi.

- Proszę kontynuować - zachęcał ją łagodnie. - Za kogo Charles mnie uznał?

Było już za późno. Po namyśle doszła do wniosku, że jednak może przejść do rzeczy. W końcu po to poszła na kolację z tym wstrętnym człowiekiem.

- Za potencjalnego zbawcę Chesterów!

- Kto pani powiedział, że to był pomysł Charlesa? A może wszystko wyglądało inaczej?

- Cóż, słyszałam na zebraniu zarządu, że...

- I niech pani zapomni o „potencjalnym zbawcy” - dodał Guy, kończąc jedzenie i wypijając łyk wina. - Nie jestem filantropem, panno Chester.

Pewnie że nie, pomyślała z cichą złością. Ale przecież była mowa o przyjacielskiej przysłudze. Ze słów Charlesa wynikało, że z jakichś powodów bez zastrzeżeń wierzył w Guya Sterna, choć wyczuła wtedy zakłopotanie brata. Przypuszczalnie Guy był jego ostatnią nadzieją. Tonący brzytwy się chwyta...

- Oczywiście, że nie jest pan filantropem. Ale wszystko, czego trzeba firmie Chester, to inwestycje i nowa linia technologiczna, aby...

- A ja podejrzewam, że S.C.F. potrzebuje przede wszystkim porządnego kopniaka, żeby zmienić cały system zarządzania, zanim ktokolwiek choćby zacznie rozważać możliwość inwestowania, panno Chester!

- To nieprawda! - Zezłościło ją tak lekceważące podsumowanie możliwości firmy. - Jestem pewna, że gdyby zadał pan sobie trud i chciał to sprawdzić osobiście, uznałby pan S.C.F. za bardzo atrakcyjne miejsce do inwestowania!

- Doprawdy, panno Chester?

- Tak! I niech mnie pan wreszcie przestanie nazywać „panną Chester”. Czuję się jak wiktoriańska guwernantka!

- W porządku. Jesteś Virginia, a ja Guy. Muszę przyznać, że brzmi to znacznie milej, zwłaszcza jeśli mamy spędzić parę nocy pod wspólnym dachem.

- Nie mamy! Jutro się wyprowadzam do...

- Niepotrzebnie. Czy chcesz trochę budyniu?

- Nie, dziękuję. - Ból już rozsadzał jej głowę. Czy był to skutek emocji przeżytych tego wieczoru? Czy może morderczych skłonności, jakie u siebie odkrywała podczas przebywania w towarzystwie Guya? No i jeszcze wino. Od czasu choroby prawie nie piła alkoholu.

- Kawy?

- Dziękuję, nie. Ale proszę, nie krępuj się. - Zamknęła na chwilę oczy, a gdy je otworzyła, dostrzegła zaniepokojenie na jego twarzy.

- Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku... - Zawahała się, nagle zapragnąwszy uciec w jakieś ciemne spokojne miejsce, gdzie mogłaby się położyć... - Przykro mi, ale chyba rzeczywiście nie czuję się najlepiej...

W głowie kręciło jej się coraz bardziej i w przyпадку paniki pomyślała, że za chwilę zemdleje. Próbowwała wstać przytrzymując się stolika, ale straciła równowagę. Chwyła kurczowo obrus, strącając ze stolika talerze, szklanki i butelkę wina. Zdażyła jeszcze zobaczyć ze zdumieniem, że kamienna podłoga tarasu niebezpiecznie zbliża się do jej twarzy... i wszystko rozplynęło się w ciemności.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Już wszystko dobrze. Nic ci nie będzie... - dotarło do niej gdzieś jakby z ciemnej gęstej mgły nieświadomości.

Zamrugła oczami i dostrzegła nad sobą majaczącą postać Guya Sterna.

- O cholera... - jęknęła, próbując usiąść. Czowała, że ma w głowie jakąś dziwną watę. - Zemdlałam, prawda? Niech to szlag...

Na zatroskanej twarzy Guya malowało się także rozbawienie, gdy pomagał jej wstać, w otoczeniu przypatrujących się im zaniepokojonych współbiesiadników i chętnych do pomocy kelnerów.

- Rozczulanie się nad sobą i zalewanie robaka nie wyleczy cię z omdleń - powiedział łagodnie. Trzymał ją mocno za ramiona i przyglądał się jej badawczo.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś w ciąży? Masz anoreksję?

- Przesunął silnymi ciepłymi dłońmi po jej szczupłych ramionach. - Jedno jest pewne, jesteś za chuda.

Virginia uznała, że w takiej chwili złość byłaby luksusem, na który szkoda tracić siły. Poza tym bezczelne pytania tego człowieka nie zasługiwały na odpowiedź.

- Zawieź mnie, proszę, do willi - zdobyła się na prośbę, usiłując zachować własną godność.

Guy Stern spełnił jej prośbę z zaskakującą uprzejmością. Szybko uregulował rachunek i krótką podróż jeepem odbyli w rekordowo krótkim czasie. Podczas jazdy czowała, że podtrzymuje ją ramieniem.

Powrót wyboistą drogą nie poprawił jej samopoczucia.

Zdążyła jednak w porę dobiec do łazienki i bezceremonialnie pozbyć się zawartości żołądka. Potem, gdy stała opierając się ciężko o umywalkę, poczuła się nieszczęśliwa i ponizona jak nigdy w życiu.

Kiedy wreszcie, z poszarzałą twarzą, wyszła z łazienki, stwierdziła, że Guy Stern cierpliwie przechadza się po korytarzu. Dzięki Bogu, nie wpakował się do środka, żeby udzielić jej pomocy. Nie zdziwiło jej to wcale, bo chociaż promieniował siłą i opanowaniem, nie robił wrażenia człowieka opiekuńczego.

- Powinnaś położyć się do łóżka. Zadzwońię po lekarza - oznajmił spokojnie.

- Ja... Nie ma potrzeby wzywać lekarza...

- Nie?

- Nie. Wiem dobrze, co mi dolega.

- To świetnie. Idź do łóżka. Przyniosę ci trochę wody i opowiesz mi o tym.

Zawrócił na pięcie i zniknął. Po chwili namysłu Virginia doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu, aby, znaleźć się w łóżku. Szybko poszła do łazienki i przebrała się w luźną nocną koszulę w biało-niebieskie poprzeczne paski. Kiedy wrócił, leżała już, bezpiecznie przykryta wzorzystą narzutą.

- No dobrze. - Postawił szklankę z wodą w pobliżu i usiadł na brzegu łóżka, zbyt blisko, by mogła zachować spokój ducha. - Jak się teraz czujesz?

- Boli mnie tylko głowa. Wezmę parę tabletek i przejdzie mi. - Połykając drugą tabletkę napotkała jego badawczy wzrok. - Nie jestem w ciąży. Nie cierpię też na anoreksję - dodała lodowatym tonem. - To tylko skutki choroby, która męczy mnie od paru miesięcy. To wszystko.

- Jakiej choroby? - Szare oczy zwęziły się, gdy przenikliwie wpatrywał się w jej twarz.

- Chociaż to nie twój zakichany interes, to ci powiem. Miałam zapalenie węzłów chłonnych.

- Aha! - Guy Stern pokiwał powoli głową. - Gorączka, bóle głowy, zmęczenie, depresja. Okropny wirus EB.

- Jaki wirus? - Popijając wodę spojrzała na niego nieco zirytowana.

- Epsteina i Barra. To dwaj lekarze, którzy go zidentyfikowali.

- Skąd, na Boga, tyle o tym wiesz? Chorowałeś na to?

- Nie. Mój ojciec jest lekarzem - powiedział szorstko, tak jakby chciał, aby tego tematu dalej nie poruszać. Virginia spojrzała na niego z nagłym zaciekawieniem. W jego pochmurnym spojrzeniu pojawił się teraz nowy wyraz. I na pewno nie była to kpina. Raczej powściągane rozgoryczenie.

- No, już mi przeszło. Czuję się całkiem dobrze - oznajmiła chłodnym tonem, ale w jego oczach dostrzegła niedowierzanie. - I jeśli chcesz wiedzieć, to prawie nigdy nie mdleję. Ten dzień był po prostu zbyt długi i wyczerpujący...

- Przepraszam. Powinienem był ci pozwolić na zrobienie kanapki i wczesne pójście spać. Dotarcie tutaj z Anglii może być dość męczące.

Przyleciałaś do Hewanorra?

- A ty nie?

Zaprzeczył lekkim ruchem głowy, z obojętnym wyrazem twarzy.

- Zatrzymałem się na Barbadosie. Stamtąd poleciałem lokalnym samolotem do Vigie. Potem to już tylko mały kawałek taksówką.

- Tobie to się udało - mruknęła kwaśno. - Ja musiałam trząść się przez parę godzin w wyściełanym futrem gruchocie.

- Noble'a Solomana? - roześmiał się Guy. - Jest bardzo dumny z tej taksówki. Lepiej, żeby się nie dowiedział, że nazywasz ją gruchotem.

- Był bardzo miły - przyznała. - I z pewnością nie ośmieliłabym się obrażać jego środka transportu.

- Mimo napięcia spowodowanego obecnością Guya, zaczęły się jej kleić powieki. Poczowała się nagle zamroczone i ogarnęło ją przemożne zmęczenie.

- Słuchaj, jeśli na dziś przesłuchanie jest już skończone, to czy masz coś przeciwko temu, żebym usnęła?

- Skoro niczym więcej nie mogę ci służyć... - Wstał swobodnie i przelotnie omiół wzrokiem kształt jej ciała pod cienką narzutą. Mimo ogromnego zmęczenia odczuła, że jej ciało drży, a ona nie potrafi nad tym

zapanować. Pod badawczym spojrzeniem śmiejących się szarych oczu, przez jedną straszliwą chwilę znów poczuła się naga. Ku swemu najgłębszemu przerażeniu poczuła, że jej sutki podniosły się i zeszywniały. Zagryzając silnie dolną wargę skrzyżowała szybko ramiona na piersiach, ale błysk w zagadkowych oczach Sterna świadczył, że zdążył to dostrzec.

- Dobranoc. Słodkich snów - powiedział sucho, kierując się ku drzwiom. Nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, wyłączyła nocną lampkę. Twarz jej płonęła. Wsunęła się między prześcieradła i leżąc w ciemności drżała ze wstydu, zaskoczona nagłym odkryciem. To było niemożliwe. Po fiasku z Mortimerem niemożliwe było przecież, by ten impertynent mógł zrobić na niej choćby najmniejsze wrażenie.

Była pewna, że w tym stanie zamętu i niepokoju nie zaśnie do rana. Zasnęła w mgnieniu oka.

Obudziła się z myślą, że poprzedniego wieczoru nie zapłaciła za kolację. Korzystając z zamieszania Guy Stern spokojnie pokazał swoją kartę kredytową i wyprowadził Virginie z restauracji. Za to ostatnie powinna być mu wdzięczna, musiała jednak sytuację wyjaśnić.

Kiedy brała prysznic i spoglądała przez okno na przezroczysty błękit nieba i złoty blask horyzontu, przypomniała sobie nagle coś jeszcze. Obiecała tacie, Charlesowi i Lucy, że zadzwoni zaraz po przyjeździe, by uspokoić ich, że dojechała cała i zdrowa. Poczowała wyrzuty sumienia. Mogli zamartwiać się na śmierć, bojąc się, że miała wypadek. Włożyła głęboko wycięty kostium kąpielowy w biało-niebieskie pasy, z kwiatem fuksji nad lewym biodrem i postanowiła, że zatelefonuje do nich, gdy tylko uda jej się ustalić, która godzina jest teraz w Anglii. Za łaskawym zezwoleniem gospodarza tego domu, upomniała siebie z gorzką ironią. Na myśl o kolejnym spotkaniu z sardonycznym Guyem Sternem, zwłaszcza podczas śniadania, poczuła kamień w żołądku.

Minął jej wreszcie ból głowy. Spięła włosy na karku niebiesko-bananową klamrą i spojrzała z ponurą rezygnacją na ziemistą bladość swej twarzy. Wczorajsze omdlenie przeraziło ją. Niskie ciśnienie krwi było ubocznym skutkiem choroby, ale sądziła, że to już minęło. Utrata przytomności w restauracji rozwiała taką nadzieję.

Dokładnie spakowała walizkę. Z zadowoleniem stwierdziła, że w sypialni i łazience panuje wzorowy porządek i nie ma śladu jej pobytu. Im szybciej stąd odejdzie, tym lepiej. Miała nadzieję, że znajdzie jakiś pokój w którymś z hoteli po drugiej stronie zatoki. Wyspa chyba nie pęka w szwach od turystów. Pieniądze z konta zostaną przeznaczone na słuszny cel. To jest sytuacja krytyczna.

Przeszła bosą przez hol, ogromny salon i doszła do otwartych szklanych drzwi. Wiatr rozwiewał jedwabne zasłony. Na zewnątrz oślepiająco świeciło słońce, ale na horyzoncie widać było gromadzące się złowieszcze ciemne chmury.

Obok lazurowego basenu, na leżaku, zobaczyła Guya Sterna, rozmawiającego przez bezprzewodowy telefon. Opalony na brąz, w okularach przeciwsłonecznych i krótkich czarnych kąpielówkach wyglądał frapująco. Na stojącym obok niego stoliku stała taca z ceramicznym dzbankiem do kawy i filiżanki, a na ziemi leżała gazeta.

Prawdopodobnie gorąca linia z giełdą światową, pomyślała z niechęcią. Typowy *yuppie* relaksujący się w swojej kryjówce na wyspie.

- Dzień dobry - powitała go chłodno.

Podniósł muskularne ramię i zamachał do niej. Idąc powoli w jego stronę, prawie zderzyła się z wysoką dziewczyną, która pełnym wdzięku krokiem wyszła z kuchni i uśmiechnęła się do niej ciepłym, choć jakby trochę wymuszonym uśmiechem. Zakłopotana, odwzajemniła uśmiech i stanęła w miejscu jak wryta. Dziewczyna w mikroskopijnym biało-czarnym bikini była niezwykle piękna. Miała gładkie wysmukłe ciało o aksamitnej skórze w kolorze

kawy, długie, czarne, wijące się włosy i niezwykle łagodne ciemnobrązowe oczy. Chociaż Virginia została obdarzona przez naturę smukłą zgrabną figurą o kobiecych kształtach, to w porównaniu z tą dziewczyną natychmiast poczuła się niepociągająca, nudna i przygnębiająco niekobieca. Natychmiast odżyły w niej wszystkie urazy z poprzedniego wieczoru.

A więc to takie kobiety lubi Guy Stern, pomyślała. Nic dziwnego, że nie rzuca się na rude, jak to brutalnie określił. Jeśli mężczyzna zobaczy taką ciemnoskórą piękność, to nikt inny nie potrafi już go zadowolić. Czy ta dziewczyna była metyską? Co za różnica? Była śliczna do utraty tchu. Virginia zdusiła w sobie poczucie zranionej miłości własnej. Cóż ją obchodzi, jakie kobiety lubi Guy Stern.

- Dzień dobry. Jestem Tara - powiedziała z uprzejmym zainteresowaniem w oczach dziewczyna i wyciągnęła drobną delikatną dłoń.

- Virginia Chester. Dzień dobry.

Kiedy wymieniły powitalny uścisk, dłoń dziewczyny na tle jej własnej, zgrabnej, o długich palcach, wydała się jeszcze drobniejsza i Virginia znowu poczuła się nieswojo. Nie była pewna, jak długo potrafi znieść obecność Tary.

- Czy mam pani przynieść coś na śniadanie? Są owoce, bułki, kawa... - Miękki głos, leniwie przeciągający samogłoski, brzmiał miło dla uszu.

- Dziękuję, nie potrzeba. Sama coś sobie wezmę. Przeszła obok Tary i podeszła do Guya Sterna.

Spojrzała mu prosto w oczy, nie potrafiła jednak nic wyczytać z jego twarzy.

- Dzień dobry. Przepraszam za scenę w restauracji. Mdlejąc tam czułam się jak idiotka. Musisz mi powiedzieć, ile jestem ci winna za kolację. Czy mogę skorzystać z telefonu? Obiecałam, że zadzwonię, jak tylko dojadę, ale jakoś... przez to całe zamieszanie... zapomniałam...

Wiedziała, że papie nerwowo. W końcu jednak zamilkła, nie widząc żadnej reakcji na ciemnej twarzy Guya. Jego szerokie kształtne usta skrzywiły się w nieco ugrzeczniejszym uśmiechu.

- Zapomnij o wczorajszym wieczorze, z ceną kolacji włącznie. I nie martw się, rozmawiałem już z Charlesem i twoim ojcem. Wiedzą, że dojechałaś cała. Obiecałem, że będę cię pilnował.

Podniósł dzbanek do kawy, sprawdził jego ciężar, potem przywołał gestem Tarę, która szybko podeszła.

- Przynieś pannie Chester trochę gorącej kawy i ciepłych bułeczek, Taro, dobrze?

- Oczywiście. - Ze spokojnym uśmiechem dziewczyna wzięła dzbanek i kołyszącym krokiem, z leniwą zmysłowością, udała się w kierunku kuchni. Jeśli Virginia miała jakiegokolwiek wątpliwości co do stosunków łączących Tarę z właścicielem willi, pozbyła się ich natychmiast, gdy uświadomiła sobie, jakim językiem przemawia to ciemne ciało. Guy spokojnie czekał, aż Tara wykona jego polecenie, a Virginia zawrzała z oburzenia. Guy Stern był typowym przykładem mężczyzny, który uważa, że kobiety nadają się jedynie do zaspokajania jego potrzeb seksualnych i prowadzenia domu...

- Wolałabym porozmawiać z moją rodziną osobiście. I co, na Boga, masz na myśli mówiąc, że „obiecałeś mnie pilnować”? - kipiąc z oburzenia, zwróciła się do siedzącego bez ruchu mężczyzny.

Wyprostował się i wyciągnął swoje długie nogi. Oparł łokcie na kolanach, zdjął okulary przeciwsłoneczne i wbił w nią drwiące, szare oczy.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł po dłuższej chwili. - Twój ojciec bardzo przejął się twoim wczorajszym omdleniem...

- Powiedziałeś mu o tym? - Z wściekłości prawie straciła głos. Oparła ręce na biodrach i pociemniałymi od emocji niebieskozielonymi oczyma wpatrywała się w niego z wyzywającym niedowierzaniem. - Nie miałeś prawa niepokoić mojego ojca! Nie wie o żadnym z moich omdleń...

- A ile razy ci się to przytrafiło?

- Tylko trzy, z wczorajszym włącznie, ale...

- O trzy za dużo. O ile rozumiem, nikt z twojej rodziny o tym nie wie. Czy zwykle jesteś taka tajemnicza?

Wzięła głęboki oddech, by się opanować.

- Tajemniczość nie ma z tym nic wspólnego. Nie chciałam, żeby zrzędzili i namawiali mnie do przerwania nauki i powrotu do domu! - Z bezsilną wściekłością patrzyła na jego kamienną twarz. Nie miała zamiaru dostarczać rodzinie argumentów pozwalających uważać ją za wymagające opieki dziecko, a poza tym wmieszanie się Guya Sterna do nie swoich spraw przysparzało kłopotów ojcu i Charlesowi. - Nie miałeś prawa im tego mówić - zaczęła niskim zduszonym głosem. - Charles martwi się ciężką Lucy, a ojciec zadreżcza się na śmierć sprawami firmy... - Przerwała, czując, że w zdenerwowaniu nie panuje nad tym, co mówi. Guy nie spuszczał z niej wzroku. Gdy przyniesiono już śniadanie, zachęcił ją gestem, by usiadła.

- Rozumiem teraz, dlaczego tak im zależało, abyś pojechała na wakacje - powiedział przyglądając się ostrej linii jej ramion nad dekoltem kostiumu. - Jesteś zbyt spięta. Parę dni tutaj powinno cię odprężyć. - Roześmiał się nagle rozbrawająco i naśladując miejscowy akcent powiedział: - Na luzie, bez nerw, dziecino!

- Bardzo zabawne - odparła z przekąsem - ale nie zamierzam tu zostawać. Pojadę taksówką do najbliższego miasteczka i znajdę jakiś pokój. To jest twoja willa i masz wszelkie prawa tu być. Nie będę narzucać się dłużej, niż to konieczne.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział tak miękko, że w pierwszej chwili zwątpiła, czy dobrze usłyszała.

- Słucham? - spytała chłodno.

- Czego się boisz? Mnie? - dopytywał się lekko żartobliwym tonem.

- To nonsens - warknęła rumieniąc się. - Dlaczego, na Boga, miałabym się ciebie bać? - Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy piękna Tara jest w pobliżu i bawi się, słysząc tę osobliwą rozmowę. Ciemnoskóra dziewczyna pływała w basenie. Virginia ponownie spojrzała na siedzącego naprzeciw niej mężczyznę.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo. - Moja ostatnia gorsząca sprawa o próbę gwałtu miała miejsce już przeszło rok temu. Obecnie mówi się o mnie, że zawróciłem ze złej drogi.

- Na litość boską, czy ty zawsze musisz robić aluzje do seksu?

- Staram się. - Pochylił się nad tacą, unosząc pokrywkę od dzbanka z kawą. - Jaką lubisz kawę?

- Słabą, białą i bez cukru - burknęła, zapominając całkowicie o dobrych manierach wobec człowieka, którego tak nie znosiła i którego bliskość wyprowadzała ją z równowagi.

- Pasuje do ciebie. - Wlał do filiżanki kawę i gorące mleko.

- Przypuszczam, że ty lubisz mocną i czarną? - spytała ze zjadliwą słodyczą.

- Prawie zgadłaś. Czarną z odrobiną mleka. - Nalał sobie kawy i spojrzał na Virginie badawczo. - A teraz wyjaśnijmy sobie parę spraw. Nie zadzwoniłem do twojej rodziny po to, by sprowokować cię do kolejnego napadu złego humoru, choć dostarczają mi one pewnej rozrywki. Musiałem powiedzieć Charlesowi, gdzie jestem. Przyleciałem tu pod wpływem chwili. Przyszło mi do głowy, że skoro Sarah Chester jest na skraju bankructwa, Charles może wpaść w panikę...

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Virginii.

- Wydaje się, że mój brat naiwnie wyobrażał sobie, że jesteś właściwą osobą w tej sytuacji. - Starannie dobierała słowa, próbując opanować wewnętrzne wzburzenie. - Zwrócił się do ciebie jako wybitnego specjalisty. Tak więc powiedz mi, jeśli firma jest rzeczywiście na progu bankructwa, jak to się

stało, że wygrzewa się pan na Karaibach, panie Stern? Nie wyglądasz na kogoś, kto z desperacją walczy o życie pacjenta, lecz raczej na kogoś, kto czeka, aż pacjent umrze. - Czy dlatego, żeby sprzedać resztki temu, kto zapłaci najwięcej?

Wypił nieco kawy i odchylił się do tyłu, przyglądając się jej uważnie.

W spojrzeniu jasnych oczu było coś, co odbierało jej odwagę, ale błysk ten po chwili zgasł. Więc to był słaby punkt pana Sterna. Nie lubił, gdy ktoś mu wypominał jego bezwzględność w interesach.

- Jak na osobę dwudziestojednoletnią masz zadziwiająco cyniczne poglądy - powiedział powoli i spokojnie, a Virginia nie wiedziała, czy był wściekły, czy po prostu znudzony.

- Nie jestem cyniczna, jestem realistką! To ludzie twego pokroju są cyniczni...

- A jacy są ludzie „mego pokroju”? - spytał łagodnie.

- To ludzie, którzy zawsze umieją dostrzec korzystną dla siebie okazję! Którzy oceniają wszystko w kategoriach... bilansu zysków i strat! - Zawiedzione nadzieje i wściekłość sprawiły, że gorączkowo kontynuowała temat. - Nie jestem cyniczna. Jestem przywiązana do ideałów moich dziadków, niepokoję się o ludzi pracujących dla Sarah Chester, o ich dobro, ich fizyczne i psychiczne samopoczucie, ich satysfakcję z tworzenia czegoś pożytecznego i wartościowego...

- Co za płomienne przemówienie - wycedził lakonicznie, nakładając okulary. - Bardzo chwalebne. Ale twój realizm ma posmak ideologii. A ideologia, niestety, nie tworzy miejsc pracy, Virginio.

- Tak, ale zysk to nie wszystko...

- Przeciwnie, w świecie prawdziwych interesów zysk jest kluczem do rozwoju. A tylko rozwój może zadowolić akcjonariuszy.

Upił znów trochę kawy i nieoczekiwanie się roześmiał.

- Mamy przynajmniej wspólny temat na długie karaibskie wieczory, panno Chester, niezależnie od tego, po której jest pani stronie.

- Nie mogę tu zostać.

- Dlaczego? Willa pomieści osiem osób. Wszystkie sypialnie mają niezależne łazienki. Jeśli potrzebujesz przyzwoitki, zawsze, kiedy tu jestem, jest tu Tara. Dlaczego więc nie poodpoczywać trochę? Po co szaleć i wyrzucać pieniądze na inne lokum?

Uniósł pytająco brwi. Virginia żałowała już swego wybuchu. Niech diabli wezmą jej gorący temperament. Obrażając człowieka, którego poprosili o pomoc, nie przysłuży się firmie... Jeśli jednak uda jej się opanować emocje i zachować zimną krew, to ta nieznośna sytuacja może okazać się dla Chesterów darem niebios. Niewykluczone, że potrafi przekonać go racjonalnie i spokojnie, aby ratował fabrykę, o ile przewycięży wstręt do jego towarzystwa podczas wakacji!

Zadrzała lekko, mimo iż siedziała w słońcu.

- W twoim stanie zdrowia im mniej stresów, tym lepiej. Twój brat twierdzi, że starając się o dyplom zbyt dużo się przepracowywałaś, zamiast dbać o siebie.

- Cieszę się, żeście sobie o mnie przyjemnie pogawędzili!

- Lucy uprzedziła, że zadzwoni dziś wieczorem.

- Naprawdę? - Czowała się jak w pułapce. Jeśli się stąd wyprowadzi, zrobi się z tego wielka awantura po powrocie do domu.

W czym problem, spytała siebie w duchu. Przecież, jeśli się postara, przez parę dni może zapanować nad niechęcią do tego człowieka. W końcu to, że wszedł do własnej sypialni i zobaczył ją nagą, nie było jego winą, nawet jeśli potem w odrażający sposób kpił sobie z niej.

- W porządku - powiedziała cicho - jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym grała rolę przyzwoitki...

- Przyzwoitki? - Przez moment wpatrywał się w nią zbity z tropu, potem parsknął śmiechem. - Świetnie. Nie mam absolutnie nic przeciwko temu. - Czy

jej się tylko zdawało, czy też naprawdę z opanowanej kamiennej twarzy Guya Sterna zniknęło leciutkie napięcie? - Nie będziesz tego żałować.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się powściągliwie.

- Trafiła pani na najlepszego przewodnika na wyspie, panno Chester.

Mówiłaś, że lubisz żeglować?

- Nie powiedziałabym, że nie lubię, ale pływałam tylko ze trzy razy z Charlesem...

- Drogi lądowe są trochę wyboiste. - Roześmiał się nieoczekiwanie, a ona przypomniała sobie podróż z lotniska i choć raz w pełni zgodziła się z Guyem Sternem. - Mam mały jacht w zatoce. Pożyteczny do zwiedzania okolicy.

- Słuchaj... - powiedziała chłodno, rozglądając się za Tara, która chyba weszła do willi. - Używając wyrażenia „grać przyzwoitkę” miałam na myśli mój pobyt w willi, a nie bycie waszym cieniem, gdy chcecie zwiedzać, żeglować, czy...

- Tara to wszystko widziała - zauważył łagodnie. - Ona tu mieszka.

- Tak, ale nawet w tym...

- Pierwszy postój - kontynuował, jakby nic nie słyszał - w Soufriere.

Mineralne łaźnie. Ponoć pomagają na wszystko, od słabych nerwów poczynając, a na kacu kończąc. Wskazane szczególnie dla drgającego kłębuszka nerwów, który mdleje podczas kolacji. Wyjeżdżamy za godzinę. Dobrze się czujesz?

- Tak, ale ja naprawdę...

- Weź ze sobą ręcznik.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co sądzisz o moim „Piracie”? - zapytał Virginie siedzący nonszalancko przy sterze Guy Stern. - Podoba ci się?

Leniwe żeglowanie po czystych połyskujących wodach Morza Karaibskiego, przy sprzyjającym południowym wietrze, powinno być dla mnie wspaniałym odpoczynkiem, pomyślała cierpko. Ale czyż mogła odpoczywać w towarzystwie człowieka, którego nie lubiła, któremu nie ufała i który na przemian kpił z niej, traktował protekcyjnie i onieśmielał? Jeszcze bardziej denerwowało ją, choć wzbraniała się do tego przyznać, to czające się tuż pod powierzchnią, ledwo uchwytnie seksualne zagrożenie, które delikatnie mówiąc, dręczyło ją i płoszyło. Lubiła panować nad sobą, a miała wrażenie, że nad tym uczuciem może nie zapanować...

Zacisnęła pięści i zęby. To było szaleństwo. Musiała to sobie uroić. Guy Stern nie mógł być nią zainteresowany w najmniejszym stopniu, a inni...

Wzdrygnęła się. Po tym, co było z Mortimerem, wyrzekła się mężczyznom na całe życie. A gdyby to miał być Guy? Nie, wolałaby raczej rzucić się lwom na pożarcie.

- O, tak. Niezły. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na takielunek. Śnieżnobiały grotzagiel ustawiony ostro do wiatru był mocno wyprężony. Przesunęła powoli wzrokiem po oślepiająco białym pokładzie i ciemnym wnętrzu kabiny. - I choć nie jestem fanatyczką żeglarstwa, muszę przyznać, że bardzo mi się tu podoba. - Zmusiła się do uprzejmej uwagi, zdecydowana wysilić się na lekką towarzyską konwersację, by pokryć narastający w niej niepokój. Stern wy dostał się z ciasnego kokpitu i przywołał ją gestem dłoni.

- Popilnuj przez chwilę steru, a ja zejść pod pokład i zrobię coś do picia.

Kiedy przekazywał jej ster, musnęła w przelocie nogą jego szorstkie kolano. Cofnęła się jak oparzona. Spozrzegłszy napięcie na jej twarzy, spojrzał

w słońce, mrużąc oczy. Trudno było dociec, czy był ubawiony, czy tylko oślepiiony blaskiem słońca.

- Rozluźnij się - poradził jej łagodnie, oddając ster i lekko przytknął ją w policzek. - Pani nerwy są w strzępach, panno Chester. Jest pani główną kandydatką do nauki tutejszego życia na luzie.

- Mam się doskonale - powiedziała ostro, czując jak łódź reaguje na ruchy sterem. Uczucie panowania nad łodzią było dziwnie przyjemne. - Czy mówiłeś coś o picciu?

- Już się robi, proszę pani. - Zasalutował. - Do usług...

Zignorowała to, zerkając jednym okiem na odległy brzeg, a drugim na kompas.

- To bardzo gustowna łódź - zauważyła chłodno, przyjmując wysoką szklankę z rozrzedzonym wodą mineralną sokiem pomarańczowym. - Choć jestem zaskoczona, że nie jest to coś bardziej okazałego.

- Lubię żeglować w pojedynkę, Większa łódź byłaby już zbyt męcząca.

- Doprawdy? - Ton sarkazmu zabrzmiał w jej głosie.

- Powiedz mi - odezwał się spokojnie po dłuższej chwili, wyciągając się wzdłuż kokpitu i krzyżując swoje długie nogi - czy twoja skłonność do uprzedzeń jest chwilowa, czy też to stała cecha twego charakteru?

Spojrzała na niego ostro, ale ciemna twarz Sterna pozbawiona była wyrazu.

- Nie mam żadnych uprzedzeń...

- Myślałem o twoim wcześniejszym wybuchu, przy basenie. Łatwo przychodzi ci potępienie kogoś, Virginio. I to bez poważnych dowodów. Przypisałaś mi rolę bezdusznego łajdaka, opętanego żądzą zdobywania pieniędzy, bogactwa i luksusu. Czy spodziewałaś się, że mam królewski jacht „Britannia”, ze stałą załogą na pokładzie?

Oniemiała na chwilę. To było tak bliskie prawdy, że poczuła się lekko zawstydzona. Naprędce zebrała się w sobie i zaatakowała.

- Schreider Stern Incorporation musiałyby oddać połowę zysków na dobroczynność i zyskać dobrą opinię, abym mogła zmienić zdanie o twoim stylu życia.

- A więc interesowałaś się moim stylem życia. Czy mam to uznać za komplement? - spytał z niezmaconym spokojem.

- Twoje nazwisko pojawia się regularnie w doniesieniach ze świata finansów - powiedziała ze złością.

- Schreider Stern Incorporation przejęła firmę wujka mego kolegi z college'u. Nie trzeba mieć doktoratu z ekonomii, by zauważyć spółki, które pochłaniają inne, niezależnie od branży, skutecznie je rozkładają, a potem wyprzedają po kawałku z dużym zyskiem!

- Domyślam się, że w szkole artystycznej godzinami rozprawia się o naprawie świata.

- Nie bądź taki... protekcyjny - odparowała niskim głosem, w którym brzmiała wściekłość.

- W szkole artystycznej uczą przynajmniej studentów, jak robić w życiu coś wartościowego, coś prawdziwego. Czy zrobiłeś w swym życiu coś, co poprawiło jakość życia drugiego człowieka?

- Oczywiście. Musisz chyba przyznać, że robię niezłe drinki z soku pomarańczowego.

Zmiażdżyła go spojrzeniem, lecz u niego wywołało to jedynie rozbawienie.

- Przypuszczam, że to w pełni zaspokaja twoje humanitarne ambicje! - skwitowała krótko i jęknęła w duszy, przypomniawszy sobie, jakie miała zamiary w związku z Sarah Chester. Powinnam sobie odgryźć ten złośliwy język, pomyślała. Rzeczywiście, będzie miała duży wpływ na decyzje Guya Sterna wobec jej rodzinnej firmy, jeżeli przy każdej próbie rozmowy będzie go obrażać. Choć trzeba przyznać, że on nie pozostaje jej dłużny.

Rozzłoszczona, zastanawiała się, czy on potrafił odczytać jej myśli. Czy zdawał sobie sprawę, przed jakim dylematem stanęła? Jeśli tak, to podczas wspólnego pobytu będzie mógł bawić się z nią jak kot z myszką. Musiała być uprzejma i potulna albo pogrzebać swe nadzieje...

- Coś ci powiem - zaproponował łagodnie, jakby chciał jej ułatwić sytuację. - Ze względu na twoją rekonwalescencję, zawrzyjmy rozejm.

- Rozejm? - Zagadkowo brzmiący głos wywołał w niej dreszcz i poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- No wiesz, zawieszenie broni. Przestań do mnie strzelać, to i ja przestanę. Wtedy ja będę mógł cieszyć się wakacjami, a ty - całą agresję wykorzystać do zwalczania wirusów.

Już chciała mu powiedzieć, by swoje wspaniałe pomysły zatrzymał dla siebie, ale po chwili stwierdziła, że mimo wszystko brzmiało to bardzo rozsądnie. Dlaczego, na Boga, było jej tak trudno przybrać układny wyraz twarzy i kiwnąć głową?

- Dobrze, zgadzam się. Jest za gorąco na klótnie.

Zanim przybili do brzegu Zatoki Soufriere, dojrzeliby wyłaniający się podwójny szczyt tajemniczego wulkanu Piton, którego porośnięte drzewami zbocza miały czerwony odcień, kontrastujący z zielonożółtą barwą wybrzeża. Spojrzała na Guya Sterna i napotkała jego wzrok.

- To bardzo piękne miejsce - powiedział cicho.

- Nie sądzisz?

- Tak... - Hipnotyzował ją spojrzeniem swych szarozielonych oczu.

Poczuła ucisk w gardle i z trudem odwróciła wzrok.

- Nie bój się i przestań być taka najeżona - powiedział tak miękko, że aż dostała gęsiej skórki. - Nie ma nic niemoralnego w byciu na luzie.

- Nie pamiętam, żebym tak twierdziła... - próbowała zaprzeczać. Nagle spostrzegła, że spod w półprzymkniętych powiek Guy Stern przygląda się jej wargom. Przez jedną przerażającą chwilę myślała, że pochyli się i pocałuje ją.

Nie wiedząc, jak by się mogła obronić, wybrała taktykę strusia i mocno zacisnęła powieki.

- Dobrze się czujesz? - Ciepłe silne ręce chwyciły ją za ramiona i odzyskała oddech. Niełatwo było odgadnąć, co kryje się w jego głosie, natychmiast jednak otworzyła oczy, gdy usłyszała następne słowa:

- Chyba nie masz zamiaru znów mi zemdleć?

- Czuję się dobrze, naprawdę... - Mimowolnie oblała się rumieńcem. Zapanowała jednak nad emocjami, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się uprzejmie, choć z przymusem, do pochylonego nad nią Guya.

Musiała przyznać z niechęcią, że złość na Guya Sterna wywoływała dziwne reakcje jej ciała, kłopotliwe i krępujące. Wybuchy wściekłości mogły przecież tylko pogorszyć sytuację. Od tej chwili będzie zachowywać się bez zarzutu. Będzie uprzejma i czarująca, nawet gdyby miało ją to zabić! Jedynym sposobem uniknięcia fizycznego napięcia w towarzystwie tego prowokującego człowieka było zachowanie uprzejmości i rezerwy.

Skończone piękno otoczenia pomogło jej tę rezerwę zachować. Droga do mineralnej łaźni prowadziła przez pełen pachnących kwiatów ogród botaniczny, w gęsto zadrzewionym wąwozie. Nad głowami fruwały motyle i ptaki, a wokół pni drzew cytrusowych i palm kokosowych pięły się delikatne pędy wanilii. Guy okazał się świetnym przewodnikiem, znającym nazwy większości kwiatów i ptaków, więc ich rozmowa, choć monotonna, przebiegała w spokojnej atmosferze.

Mimo to Virginia była zadowolona dowiedziawszy się, że oprócz ogólnie dostępnego basenu na świeżym powietrzu, można wynająć jednoosobowe kabiny w budynku. Zdecydowanie przeciwna intymnej atmosferze wspólnego z Guyem Sternem pobytu w basenie, wybrała bezpieczną kabinę.

Z ulgą pozbyła się jego towarzystwa. Czowała się tak, jakby przez parę ostatnich godzin była podłączona do dynama i ktoś wreszcie zlitował się nad nią, wyłączając prąd.

Ukryta w zaciszu jednej z kabin, odkręciła kurek, położyła się w ciepłej mineralnej wodzie i pozwoliła, aby jej ciało i umysł opanował bezwład. Otoczona mgiełką oparów nie myślała o niczym konkretnym i stopniowo zaczęła odczuwać, jak opuszcza ją napięcie i pierzchają lęki,

- Zdecydowana poprawa. - Guy Stern uśmiechnął się z entuzjazmem, gdy pojawiła się przy wspólnym basenie z prawie pogodnym wyrazem twarzy. - Czy chcesz się czegoś napić?

- Poproszę. - Spokojna, leniwa odpowiedź rozśmieszyła go. Gdy poszedł po szklanekę świeżego soku z limony i cytryny, próbowała obrazić się na niego za to rozbawienie, ale nie było w niej urazy.

- Jak widzę, udało ci się zrelaksować. - Z szelmowską miną obserwował, jak siedząc naprzeciwko niego przy stoliku sączyła z rozkoszą pyszny napój, podkurczając i rozkurczając palce stóp. - Teraz ja stoję przed wyzwaniem, jak nie pozwolić ci zasnąć.

- Nonsens. Kąpiel była bardzo... ożywcza.

- To dobrze. A czy znajdziesz siły na mały spacer?

- Czemu nie?

- Ale najpierw lunch.

- Wszystko, co chcesz.

Na tę jej ugodowość zareagował podejrzliwym spojrzeniem, ale pozostawiła je bez odpowiedzi. Miała zamiar utrzymać szczęśliwie odzyskany spokój ducha tak długo, jak tylko się da.

- Możemy sobie pogratulować... - powiedział przeciągle Guy Stern, kiedy po lunchu pili kawę na tarasie restauracji z widokiem na wulkan Piton. Po wspaniałym daniu ze świeżych krewetek w maśle limonowym i puszystym suflecie z mango, prowadzili niezwykle uprzejmą, cudownie spokojną rozmowę. Zaczęli od historii Karaibów, ludowej sztuki oraz rzemiosła i odkryli, że mają wspólne zdanie na co najmniej pół tuzina innych tematów, że fascynują ich

postimpresjoniści, pociągają prace i projekty Williama Morrisa oraz lubią krykieta.

- Co to ma znaczyć? - W przymrużonych oczach Guya Sterna znowu dostrzegła niebezpieczny błysk. - Spędziliśmy razem półtorej godziny bez podnoszenia głosu i zaciskania pięści! Kiedy opuszczasz nieco tarczę obronną i zapominasz o politycznej agitacji, twoje towarzystwo jest całkiem przyjemne. - Uśmiechnął się przekornie. - Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Znowu była gotowa do zawziętej obrony i bała się, że nie potrafi nad sobą zapanować.

- Zauważyłem też, że kiedy nie ziejiesz jadłem i nie prawisz kazań jak fanatyk socjalizmu, jesteś dość atrakcyjna - drażnił ją dalej. - Może zastanowię się nad moją niechęcią do rudych!

Mówił spokojnie, lecz w jego spojrzeniu czaiła się niepokojąca zmysłowość. Poczula skurcz żołądka i instynktownie zeszywniała.

- Nie rób sobie kłopotu z mego powodu i nie trać na to czasu.

- Czy to prowokacja?

- Nie. Żadną miarą. - Popijała kawę, kierując wzrok na odległe góry. Co się z nią działo, na Boga? Dlaczego nie potrafiła dotrzymać mu pola w niewinnym przekomarzaniu się? Zachowywała się jak dziecko.

- Wiesz, jesteś interesującym paradoksem.

- Nie, nie wiem. I naprawdę nie...

- Dziewczyna z lodu, o złotorudych włosach i płonących zielonych oczach. - Skinął lekko na kelnera, żeby zapłacić rachunek i dodał w zadumie:

- Zawzięta feministka z delikatnym wrażliwym uśmiechem...

- Słuchaj, zdaje się, że to ty proponowałeś wcześniej rozejm? - Nie wytrzymała.

- Nie przyszło mi do głowy, że to cię może urazić - zauważył pogodnie. - Interesuje mnie po prostu, co się kryje, za tą nieprzyjazną skorupą, którą pokazujesz światu, Virginio. Zastanawiam się, co cię w nim tak przeraża?

Nagle zaschło jej w gardle.

- Czuję się zaszczycona twoim zainteresowaniem, ale byłbyś rozczarowany tym, jak mało jest do dowiedzenia się - odparła z wysiłkiem, zmuszając się do słodkiego uśmiechu. - I zapewniam cię, że wcale nie czuję się przerażona. Czy możemy już iść?

- Spokojnie. Możesz się już nie denerwować. Wróćmy do dyskusji o postimpresjonistach, dobrze? - Guy wstał i uśmiechnął się do niej promiennie, z tak jawną kpina, że miała ochotę go uderzyć. - Chodźmy obejrzeć słynne siarczane źródła. Nie można przyjechać do Soufriere i nie zobaczyć ich.

Kiedy wychodzili z restauracji, objął ją lekko i Virginia zmusiła się do odczekania dłuższej chwili, zanim delikatnie odsunęła się, nie mogąc znieść wpływu, jaki jego dotyk zdawał się na nią wywierać. Przez resztę popołudnia czuła się nieswojo. Była tak rozstrojona wewnętrznie, że nie mogła w pełni docenić bulgocącego wulkanicznie, mulistego źródła w niesamowitym, jakby księżycowym krajobrazie. Wrócili na jacht dopiero wtedy, gdy różowopomarańczowe słońce zapowiadało już nadejście kolejnej, wcześniej zapadającej, karaibskiej nocy. Virginia była znużona wysiłkiem, z jakim unikała dotyku i wzroku swego towarzysza, oraz prowadzeniem rozmowy wyłącznie na nieosobiste tematy.

- Nie bądź taka przerażona - wymamrotał z przekąsem Guy, gdy po włączeniu świateł wynurzył się z kabiny i spostrzegł jej nagły niepokój. - „Pirat” ma silnik. I mam patent sternika jachtowego.

- Wcale nie jestem przerażona - zaprotestowała. Ale otaczająca ich noc wydawała się jej nieprawdopodobnie ciemna, a gwiazdy na niebie niewiarygodnie dalekie i błyszczące. Światła Soufriere migotały jeszcze długo po tym, jak zanurzyli się w ciemności i skierowali na północ, do Zatoki Marigot.

Przez jakiś czas panowała cisza.

- Wszystko w porządku? Nie czujesz się źle?

- Nie. Myślałam właśnie o tym, jak tu jest niezwykle... nastrojowo -
wyznała z ociąganiem się, kolistym ruchem wskazując na atlasową czerń morza.

- Myślałam o duchach załóg tych wszystkich hiszpańskich galeonów, które setki lat temu, na tych właśnie wodach, spotkał żaloszny koniec - dodała nieco melodramatycznym tonem. Roześmiał się głośno.

- Tak, jak myślałem. Pod maską bezlitosnej feministki kryje się romantyczne serce?

W ciemności poczuła, że jej twarz płonie. Bezlitosny. Czy tak ją widział? Spazmatycznie przełknęła ślinę, niezdolna przyznać się przed samą sobą, że taka ocena ją boli.

- To Indie Zachodnie są romantyczne, a nie ja. Cały ten obszar jest wypełniony duchami, legendami, dawnymi zdradami i zemstą. To niesamowite - mówiła w natchnieniu, a on przyglądał jej się z zadumą przez dłuższy czas. Wiedziała, że patrzy na nią, ale w ciemności nie mogła zobaczyć jego oczu, w których niewątpliwie czaiła się drwina. Było to jej jednak obojętne. W tym momencie odczuwała tak silną potrzebę tworzenia, jak nigdy przedtem. Z całej duszy zapragnęła namalować coś, co wyrażałoby jej emocje.

Zachwyty nad czymś wiecznym, w który wpadła podczas nocnej wyprawy morzem, trwał nadal. Ze zdziwieniem usłyszała tego wieczoru w telefonie znajomy głos Lucy.

- Jesteś nadzwyczaj spokojna, biorąc pod uwagę cały ten galimatias! - usprawiedliwiała się Lucy, umierając jednocześnie z ciekawości. - Jak ci się powodzi z Guyem?

- Tak, jak można było oczekiwać.

- O rany! I zapewne nie możesz wiele powiedzieć, bo Guy jest obok?

- Zgadza się. - Virginia przeniosła się na żółtobłękitną sofę i zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, gdy Guy przeszedł obok niej. Obserwowała go, gdy wyszedł na taras, usiadł na wiklinowym krześle, zapalił cygaro i wziął do ręki książkę, nie zwracając uwagi na mnóstwo przeróżnych owadów, które zleciały

się do światła i fruwały nad jego głową. Po chwili na tarasie pojawiła się Tara, w szafranowożółtej spódniczce mini i mikroskopijnym podkoszulku. Pochyliła się, muskając mu twarz włosami i coś wyszeptala. Guy uśmiechnął się szeroko, wzruszył ramionami, odłożył książkę i wstał. Wyszli z tarasu razem i Virginia usłyszała, jak zamykają się za nimi drzwi od jego sypialni.

Serce w niej zamarło, nie była w stanie się ruszyć. Przyływ trudnych do określenia emocji prawie ją sparaliżował.

- Miałam nadzieję, że docenisz to, że wypalam świece dzwoniąc do ciebie w środku nocy - z daleka dochodził uporczywy głos Lucy - a za moje poświęcenie słyszę jedynie zdawkowe odpowiedzi. Pytałam, gdzie byliście wcześniej? Próbowałam się dodzwonić przez cały wieczór.

Z najwyższym wysiłkiem Virginia starała się przyjść do siebie. Zapomniała o różnicy czasu. Wpół do ósmej tutaj, to wpół do pierwszej w nocy w Anglii.

- Przepraszam, Lucy. Popłynęliśmy do Soufriere. Guy uznał, że kąpiele mineralne mogą przyspieszyć moją rekonwalescencję. Czy Tara nie odebrała telefonu?

- Nikt nie odbierał. A kto to jest Tara?

- Przyjaciółka Guya Sterna.

Przez chwilę w słuchawce trwała głucha cisza, potem Lucy roześmiała się dość nerwowo.

- To by się zgadzało... Wszyscy w Londynie byli zdziwieni, dlaczego Guy bez namysłu poleciał na Karaiby sam, zostawiając swoją narzeczoną...

- Narzeczoną? - Dlaczego to miałoby mieć dla niej jakieś znaczenie, pytała się w duchu, tłumiąc wewnętrzne reakcje. Nie robiłoby jej różnicy, nawet gdyby miał sześć narzeczonych.

- Jest córką jego szefa. Lepiej dochowaj tajemnicy, bo Nicola Schreider nie będzie zachwycona, że Guy ma kogoś na boku jeszcze przed ślubem.

Virginia patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, nieoczekiwane informacje przyprawiły ją o zawrót głowy. Tak więc Schreider ze Schreider Stern Incorporation miał córkę na tyle dorosłą, by Guy Stern mógł zaplanować sobie małżeństwo z rozsądku... Biedna dziewczyna, pomyślała współczująco. Wyobraziła sobie, jaki ból potrafi zadać Guy Stern i zadrżała...

Z poczuciem winy za swe zamyślenie, zaczęła wypytywać o zdrowie Lucy i sprawy firmy, ale odpowiedzi nie podniosły jej na duchu. Lucy musiała, z polecenia lekarza, przebywać jak najwięcej w łóżku. Ojciec spędzał teraz więcej czasu na polu golfowym i w pubie, aby uciec od, jak to nazywał, „nawału pracy”, a Charles był coraz bardziej pesymistycznie nastawiony do przyszłości firmy. Obu nie było w domu.

- Pozdrów ich ode mnie, jak ich zobaczysz. Dobranoc, Lucy, kochanie. Dbaj o...

- Ty też. Baw się dobrze z boskim Guyem i nie mdlej więcej!

Musiała się powstrzymać, by nie rzucić gwałtownie słuchawki. Boski Guy! Raczej diabelski Guy, myślała cierpko Virginia idąc do kuchni po szklankę soku z mango.

Aby nie myśleć o tym, co się dzieje w sypialni Guya, wzięła swe przybory do malowania i zaczęła szkicować. Natchniona egzotycznym połączeniem barw, kształtów i faktur, które wchłaniała przez cały dzień, pracując powoli i starannie, stworzyła kilka małych projektów, o bogatej kolorystyce.

Była tak pochłonięta swym przedsięwzięciem, że nie odczuwała upływu czasu. Nie zauważyła nawet, kiedy Guy Stern wrócił do salonu, dopóki nie odezwał się zza jej pleców.

- Są bardzo dobre.

Z wielkim wysiłkiem udało jej się nie zakryć szybko swych prac. Zamiast zachować się jak uczennica skrywająca swój sekret, spojrzała na niego z uśmiechem zadowolenia, który w jej intencji miał zataić jej prawdziwe uczucia, i kontynuowała pracę.

- Dziękuję za...

- Natchnienie z Karaibów?

Ironiczny uśmiech towarzyszący tym słowom sprawił, że gardło jej się ścisnęło. Uporczywie pochylała głowę nad kolorowymi projektami, próbując się skoncentrować, ale po kilku następnych sekundach zrezygnowała i odłożyła pędzel z ostentacyjną rezygnacją.

- Nie przestawaj. Ludzie, którzy podczas pracy przygryzają język, niezmiennie przykuwają moją uwagę.

- Może trudno będzie ci w to uwierzyć, ale przykuwanie twojej uwagi nie było moim celem.

- Oczywiście. Ja potrzebuję dużo uwagi. Byłem bardzo zaniedbywanym dzieckiem.

Patrzyła na niego z rozdrażnieniem, ale Guyowi Sternowi trudno było się oprzeć. Wyciągnięty na sofie, był niezwykle spokojny. Z odgłosów dochodzących z kuchni wywnioskowała, że Tara przygotowuje posiłek. Z łóżka do kuchni. Wypełnia przypisane jej role ze służalczą doskonałością. To w końcu nie jej sprawa, jak taka dziewczyna jak Tara układa sobie życie. Coraz bardziej jednak przygnębiało ją przekonanie, że jest tutaj niepotrzebnym dodatkiem.

- W jaki sposób taki wzór może się znaleźć na materiale produkowanym w Sarah Chester? - Z jawnym zainteresowaniem w oczach wskazał gestem głowy jej obrazek.

- Nie projektuję dla Sarah Chester - odparła spokojnie, wkładając kartki do teczki, którą zamknęła zdecydowanym ruchem. - Chciałabym pójść dziś wcześniej spać...

- Ale gdyby, na przykład, Chesterowie chcieli wyprodukować materiał według takich projektów?

Spojrzała na niego badawczo. Czy prowadził uprzejmą konwersację z nieproszonym gościem, czy też wyciągał z niej informacje?

- Chesterowie mają własną pracownię projektową i komputerowy system projektowania... - zaczęła oficjalnie, korzystając z szansy pokazania firmy w dobrym świetle, ale przerwał jej gestem dłoni.

- Nie chodzi mi o komunikat działu reklamy, Virginio. Ciekawi mnie tylko, jak to się robi? Jak się przenosi taki wzór na tysiące metrów materiału?

- Dobrze, powiem ci... Komputer wyodrębnia kolory, identyfikuje motyw wzoru, powtarza go i tak dalej... - Bardzo starała się, aby w jej głosie nie wyczuwało się sztywności. Jeśli Guy Stern okazywał zainteresowanie metodami produkcji w Sarah Chester, mógł to być dobry znak. - W skomplikowanym procesie fotograficznym wzór zostaje przeniesiony na grawerowane walce deseniowe i wprowadzony do niezwykle nowoczesnej maszyny drukarskiej, która niedawno kosztowała firmę majątek. Może drukować jednocześnie w dwunastu kolorach...

Przerwała, prawie zahipnotyzowana utkwionym w niej przenikliwym spojrzeniem Guya Sterna, który sprawiał wrażenie komputera, chłonącego każdą informację, która może przydać się w przyszłości.

- Co dalej?

- W zasadzie to wszystko. Wprowadza się farby i tkaninę do maszyny drukarskiej, naciska klawisz i... się robi.

- Interesujące.

- A może byś kiedyś wpadł z krótką wizytą do Sarah Chester Fabrics i sam to zobaczył? - Ton sarkazmu w jej głosie nie wywołał żadnej reakcji.

- Na Santa Lucii jest fabryka batiku - powiedział spokojnie. - Poznanie prymitywnych sposobów malowania materiału i porównanie ich ze skomplikowaną technologią Chesterów mogłoby cię zainteresować. Jeśli chcesz, to cię tam jutro zawiozę.

- Naprawdę nie chcę zabierać ci więcej czasu. - Mimo ogromnego wysiłku, nie udało jej się ukryć niechęci.

Zmrużonymi oczyma wpatrywał się w napiętą twarz Virginii.

Wstał, płynnym ruchem podszedł do niej i palcami próbował podnieść kąciki jej ust, aby się uśmiechnęła.

- Hej... - Niski koci pomruk w jego głosie był nie do zniesienia, zadrżała. - Co się stało z romantycznymi wizjami zatopionych okrętów i pogrzebanych na wieki skarbów?

- Nie dotykaj mnie! - Nie zdążyła powstrzymać słów wypowiedzianych przyciszonym, spiętym głosem. Odsunęła jego dłoń, ale gdy chciała przejść obok niego, chwycił ją za ramiona i obrócił tak, że stanęli twarzą w twarz.

- Co złego jest w dotykaniu, Virginio? - spytał lekko ochryplym głosem. - Przez całe popołudnie kulilaś się jak przerażone zwierzątko, jeśli tylko ośmieliłem się położyć ci rękę na ramieniu.

- Puść mnie!

Próba uwolnienia się, gdy muskularne ciało Guya Sterna było tak blisko, okazała się wielkim błędem, bowiem każde nowe dotknięcie było torturą. Wcześniej przebrała się w beżową, lekką sukienkę, rozciętą z przodu, którą przytrzymał jedynie skórzany pasek w talii. W szamotaninie skośny karczek rozsunał się zdradziecko, ukazując gładkie wzniesienie nagich piersi. Przytłaczała ją zmysłowość jego ciała, a zapach jego skóry powodował zawrót głowy. Wyrywała mu się drząc konwulsyjnie, broniąc się rękami i nogami... W końcu przyciągnął ją do siebie tak blisko, że nie mogła go już uderzyć.

- Uspokój się, proszę...

- Co się z tobą dzieje? - rzuciła z wściekłością. - Czy masz tak wygórowane zdanie o własnym seksapilu, że wydaje ci się, że możesz rzucać się na każdą kobietę, która jest pod ręką?

- Co to ma znaczyć? - zachnął się łagodnie. - Na ile kobiet rzuciłem się dzisiaj wieczoru?

- Nie jestem ślepa. A co z Tarą? - Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Jego męskie ciało naprzeciw jej własnego ciała wytrącało ją z równowagi.

- Czy „rzuciłem się” dzisiaj na Tarę?

Jego opanowanie i kpiny stały się udręką. Nie była już w stanie zachowywać się powściągliwie.

- Nie interesuje mnie twój... rozwiąży styl życia! - prychnęła wściekła, waląc pięściami w jego tors, ale nie wypuścił jej z objęć. - Jednak z pewnością zainteresuje on twoją narzeczoną w Anglii.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Serce biło jej tak szybko, że nie mogła oddychać.

- Tak dla porządku, Virginio - odezwał się w końcu podejrzenie łagodnym głosem - Tara jest moją gospodynią.

- Doprawdy? A ja jestem księżną Yorku.

Przez kilka chwil przyglądał się jej badawczo. Jego oczy błyszczały rozbawieniem, ale dostrzegła w nich także i inne emocje i na jej twarz i szyję wypłynął rumieniec.

- Hojnie szafujesz krytyką, Virginio - powiedział przeciągle ochryłym głosem - ale i sama nie jesteś uosobieniem doskonałości. Wysyłasz sprzeczne sygnały, czy wiesz o tym?

- Nie! To nieprawda... - Poczowała się słabo, gdyż usłyszała jakieś echo z przeszłości. Pewnego razu Mortimer powiedział coś bardzo podobnego.

- Jeśli cię pocałuję, to czy po powrocie do Anglii zostanę oskarżony o to, że cię napastowałem seksualnie?

- Nie udawaj głupiego... - Przywołała na pomoc całą swoją złość i wstręt, jakie miała w rezerwie, ale uczucia te zostały zdradziecko wyparte przez inne, których nie umiała jeszcze nazwać. - A poza tym, nie rzucasz się na rude, tak mi powiedziałeś, i jesteś zaręczony, i co jest z Ta...

Guy przyciągnął ją do siebie i zamknął jej rozchylone: gniewnie usta własnymi, uniemożliwiając w ten sposób wszelkie protesty. Zamknęła oczy, nie będąc pewna, czy ma udawać, że nie dostrzega nieoczekiwanej żądzy w jego

pocałunku, czy też znowu schować głowę w piasek i zachowywać się tak, jakby to nie jej się przydarzyło.

A był to całkiem inny pocałunek, niż sobie wyobrażała... Zdała sobie nagle sprawę, że być całowaną przez Guya Sterna, to zupełnie coś innego, niż być całowaną przez jakiegokolwiek znanego jej mężczyznę. W pokoju panował tropikalny upał, a żar promieniujący z ich ciał gwałtownie jeszcze podwyższył temperaturę. Zdawało się jej, że pędzi w szalonym galopie. Dotyk jego zaborczego języka był niewiarygodnie erotyczny... To było przerażające i podniecające. Nawet ponure wspomnienie o Mortimerze nie było w stanie powstrzymać jej ciała od zmysłowego pobudzenia.

Zaczerpnęła oddechu i przesunęła palcami wzdłuż imponująco twardych pleców, dotknęła krótkich gęstych włosów na jego karku, on zaś przesunął dłonie na jej biodra i nagłym spazmatycznym ruchem przycisnął ją do siebie. Poprzez szorstkie dżinsowe bermudy wyczuła jego pełne gotowości pożądanie i nagle przeszył ją dreszcz chłodu, a potem ogarnął nieokreślony lęk... Nieznane emocje zostały rozbudzone zbyt szybko. Była nimi zbyt owładnięta, by myśleć logicznie, ale z najdalszych zakamarków mózgu dobiegał do niej ostrzegawczy krzyk, wspomnienie przeszłych doświadczeń...

- Kolacja gotowa. - Ciepły głos Tary przerwał niebezpieczną chwilę. Oderwali się od siebie, oddychając z trudnością, jak po długim biegu. Virginia, przerażona tym, co w sobie odkryła, odwróciła się, by spojrzeć w twarz Tary i w jej oczach zobaczyła ból. I to miała być tylko gospodyni Guya Sterna? Bez zastanowienia przeszła obok Guya i z desperacją ruszyła ku drzwiom.

- Zjedzcie beze mnie. Idę spać - wydusiła zdławionym głosem, przeniknięta uczuciem odrazy do samej siebie.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła dokładnie drzwi, potem drżącymi rękoma zablokowała je stawiając krzesło pod klamką. Wreszcie osunęła się na nie bez sił i ukryła płonąca twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Musimy porozmawiać - powiedział spokojnie Guy, gdy następnego dnia rankiem jedli śniadanie na tarasie. Blask błękitnożółtego poranka, zapach świeżo zmielonej kawy, niezmacona tafla basenu i cudowne połyskiwanie oceanu pod nimi, wszystko to było nieważne, była w ponurym nastroju.

- Nie sądzę. - Virginia posmarowała bułkę masłem i gorąco podziękowała w duchu wynalazcy okularów przeciwsłonecznych. Nie była pewna, czy bez nich odważyłaby się spotkać z Guyem Sternem przy śniadaniu. - Wolałabym zapomnieć o tym, co się stało wczoraj wieczorem - ciągnęła oziębło, unikając jego kpiącego wzroku - a poza tym, to i tak nie ma znaczenia. Twoja moralność to twoja prywatna sprawa...

- Słowem, skreślasz mnie...

- Nie rozumiem tylko, dlaczego w tych okolicznościach tak usilnie mnie namawiałeś, abym tu została...

- W jakich okolicznościach, Virginio?

W chłodnym spojrzeniu półprzymkniętych oczu błyszczało wyzwanie. Zaschło jej w gardle. Czy musiał tak przenikliwie przeszywać ją wzrokiem? W głowie miała chaos. Nagle powróciły przemożne doznania ubiegłego wieczoru i opanowały jej ciało.

- Chodzi mi o... - Nerwowo przełknęła ślinę, niepewna czy będzie w stanie mówić dalej, ale wspomnienie bólu w oczach Tary przeważało. Czy naprawdę spodziewał się, że uwierzy w to, że Tara jest tylko jego gospodynią? I czy musiał popisywać się swymi seksualnymi walorami także i przed nią, tylko dlatego, że jest kobietą i przypadkiem się tu znalazła? - Posłuchaj... - zaczęła z odcieniem znużenia w głosie - cokolwiek tu się dzieje, wyłącz mnie z tego, dobrze? Chyba rozumiem twój dylemat. Masz w domu narzeczoną, dobry materiał na poważne i solidne małżeństwo, a tutaj - rozkoszną Tarę dla

przyjemności i odpoczynku. Moje pojawienie się na wyspie komplikuje sprawę...

- I, będąc współczesnym Casanovą, postanawiam dołączyć cię do tej imponującej kolekcji moich podbojów?

Drwina w jego głosie sprawiła, że poczuła się jak pięcioletnia dziewczynka.

- Bóg jeden wie. - Zarumieniła się. - Nie mam pojęcia, dlaczego zachowujesz się tak, jak to odbieram i szczerze mówiąc, wszystko mi jedno...

- A więc nic już nie mogę powiedzieć na swoją obronę?

- Nie chcę o niczym słyszeć. Nie interesują mnie twoje osobiste sprawy, rozumiesz? - Wstała.

- Ale interesują cię moje sprawy zawodowe. - Stanowczość tego stwierdzenia powstrzymała ją od odejścia i spojrzała na niego niezdecydowanie.

- Nie mogłam przecież nie zainteresować się nimi - wsunęła ręce w kieszenie wzorzystych szortów, starając się zachować spokój - skoro masz zaangażować się w sprawy naszej firmy.

- Co masz mi za złe. - Wstał również, niepokojąco pociągający w swoich czarnych szortach i czarnej koszulce polo. - Teraz oboje mamy dylemat, nieprawdaż?

- Obawiam się, że nie ro...

- Uwzględniając wszystkie możliwe posunięcia, wygląda to na szach i mat. - Nie pozwolił jej dokończyć. - Widzę to tak: ja muszę starać się nie denerwować ciebie, bo po powrocie do domu możesz opowiedzieć mojej narzeczonej wszystko o moich grzesznych karaibskich miłostkach, a ty musisz się starać nie denerwować mnie, bo mogę całkowicie zniszczyć Sarah Chester Fabrics. Czy jak dotąd się zgadza?

- Może ciebie to bawi, ale mnie nie.

- Czy ja powiedziałem, że mnie to bawi?

Stał zbyt blisko niej, by mogła zachować kamienny spokój. W panice rozejrzała się w poszukiwaniu Tary, która wcześniej pływała w basenie, ale ta zniknęła.

- Posądzenie mnie o to, że poniżyłabym się do... szantażu, uważam za oburzające. Mam nadzieję, że twoja narzeczona dowie się, jaki jesteś naprawdę, zanim będzie za późno, ale nie usłyszysz tego ode mnie!

- Nie masz dla mnie litości, Virginio. Przyleciałem tu przepracowany i przemęczony fizycznie, ale moralnie czułem się nieźle. Od chwili gdy cię spotkałem, coraz bardziej tracę poczucie własnej godności! - Uśmiechnął się z tak bezlitosnym sarkazmem, że aż się wzdrygnęła.

- Serce mi się wprost kraje z twojego powodu! Dlaczego więc przyleciałeś tutaj? Oprócz widocznych powodów.

- Widocznych powodów?

- Tara, rzecz jasna! Nie wygląda na dziewczynę, z którą mężczyzna chciałby się rozstawać na zbyt długo!

- To prawda. Nie wygląda. I przyznaję, że w łóżku wykazuje szczególne umiejętności, ale to nie z jej, powodu przyleciałem na Santa Lucię...

- Ale przyznajesz, że chodzisz z nią do łóżka!

Z namysłem przesuwał palcami po twarzy, z błyskiem w oku patrząc na wypieki na jej policzkach.

- Nie w taki sposób, jak myślisz. Tara jest masażystką. I to nie z gatunku tych podejrzanych. Jest wykwalifikowaną aromaterapeutką. Za pomocą *neroli* i *ylang* potrafi robić niewyobrażalne rzeczy...

- Och, idź do diabła! - parsknęła, nie mogąc ukryć nagłego dreszczu emocji. Odwróciła się, by odejść, ale zatrzymał ją, silnie chwytając za ramię.

- Wysłuchaj mnie, dobrze? - W mgnieniu oka jego głos stał się niski i niecierpliwym złośliwym uśmiech znikł z twarzy, a w oczach pojawił się błysk zdecydowania. - Niech twój nie grzeszący zbytnią mądrością, podejrzliwy i

pokretny umysł rozproszy wreszcie swoje obawy. Prawda może być inna niż to, co chcesz usłyszeć, ale nie uważam już tej sytuacji za humorystyczną...

- Zechciej puścić moje ramię, dobrze?

- Tylko wówczas, gdy spokojnie mnie wysłuchasz.

Poczuła suchość w ustach, więc tylko kiwnęła potakująco głową. Zdjął rękę z jej ramienia, a ona natychmiast zaczęła intensywnie je masować.

- Tara opiekuje się domem. Jest znakomitą, dobrze opłacaną gospodynią. Od czasu do czasu pracuje dla mnie jako sekretarka. To wszystko.

Poczuła, że robi jej się słabo i ogarnia ją panika. Jak doszło do tej bolesnej konfrontacji, trudnego do opisanego upokorzenia i odsłonięcia się przed Guyem Sternem? Nagle przyszło jej na myśl, że Guy Stern zadał sobie trud tłumaczenia się przed nią tylko dlatego, że gdyby tego nie zrobił, jego związek z Nicolą Schreider byłby zagrożony. Była pewna, że w przeciwnym razie skwitowałby całą tę kłopotliwą sytuację jakąś szyderczą uwagą. Dlaczego więc zachowywała się jak zazdrosna przyjaciółka? Chyba oszalała...

- Tara jest wykwalifikowaną aromaterapeutką. - Obserwował w napięciu jej twarz, a kiedy dostrzegł w niej niedowierzanie, w jego oczach pojawiła się znowu gorzka ironia. - Wierz, w co chcesz - dodał, wzruszywszy ramionami.

- Tara jest w tobie szalenie zakochana.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Widzę, jak patrzy na ciebie! Na litość boską, dlaczego prowadzimy tę bezsensowną rozmowę? - wybuchła z wściekłością.

- To właśnie mnie interesuje.

- Cóż, to proste i oboje przecież to wiemy - odpowiedziała z furią. - Ty próbujesz obronić swój związek z narzeczoną, a ja próbuję wbić ci do tego zarozumiałego łba, że mieszkanie pod wspólnym dachem przez parę dni nie jest wystarczającym powodem, abym poszła z tobą do łóżka.

- I dlatego tak rozmawiamy?

- A nie?

Ciemna twarz Guya robiła wrażenie szyderczej, irytującej maski. W przedłużającej się ciszy uświadomiła sobie, że po tej sprzeczce cała się trzęsie.

- Pora zawrzeć kolejny rozejm. Czas na wycieczkę turystyczno-krajoznawczą po wyspie, panno Chester.

- Zobaczył, że otworzyła usta, by się sprzeciwić i w jego oczach pojawił się błysk ironii. - W drodze możesz opowiedzieć mi wszystko o zakresie produkcji w Sarah Chester. Skoro firma twego ojca jest jedynym powodem, dla którego raczysz łaskawie obcować z taką hołotą jak ja, wykorzystaj szansę, dopóki ją masz.

Patrzyła na niego bezradnie.

- Czy oskarżasz mnie o... o wykorzystywanie tej sytuacji na korzyść Chester Fabrics?

Roześmiał się niespodziewanie, przenikliwie wpatrując się w jej zarumienioną twarz.

- Sądzę, że taka myśl zaświtała ci w głowie - zakpił łagodnie.

Zmierzyli się wzrokiem. W nie kończącej się ciszy narastało napięcie i zdawało się, że krew pulsuje w żyłach Virginii dwa razy szybciej niż normalnie.

W końcu jednak nie potrafiła się oprzeć lekkiemu uśmiechowi rozbawienia, który pojawił się na jego twarzy. Głęboko zakorzenione poczucie humoru przyszło jej na ratunek.

- Może byśmy podjęli kolejną próbę zostania miłymi znajomymi z wakacji? - zaproponowała trochę niepewnie. - O ile... to znaczy, jeśli obiecasz mi, że nie wciągniesz mnie w kolejne spięcie.

- Nie dałaś mi poznać, że jest ci to niemiłe.

Virginia odetchnęła głęboko. Zdecydowała, że szczerść będzie teraz na miejscu.

- Nie mogę powiedzieć, aby całowanie się z tobą nie było dość przyjemne - poinformowała go z największym spokojem, na jaki było ją stać, rozpaczliwie

starając się ukryć przyspieszone bicie serca, gdy przypomniła sobie, jak zareagowała na ten pocałunek.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że... to mnie nie interesuje. To znaczy... Zdaję sobie sprawę, że dla mężczyzny takiego jak ty, zaistniała sytuacja jest zapewne świetną okazją do przelotnej przygody, nawet jeśli generalnie nie przepadasz za rudymi, jak mi to szarmancko wyznałeś podczas naszego pierwszego spotkania...

- Niejasno wyczuwała, że się płacze, ale nie mogła powstrzymać potoku słów. - Mój Boże, mówię, jakbym była jakąś Lolitą, której nie można się oprzeć, czy kimś takim... ale nie chciałabym, żebyś miał wobec mnie jakieś plany w tej sytuacji...

W jego oczach znów pojawiła się drwina, ale był w nich również inny wyraz, który mógł oznaczać rozdrażnienie, starannie zamaskowane ironicznym uśmiechem.

- Mam złamane serce - zapewnił ją z emfazą, przyciskając rękę do piersi w teatralnym geście. - Od tej chwili dołożę wszelkich starań, aby żyć tak cnotliwie jak ksiądz.

Przez resztę dnia atmosfera była spokojna, choć wyraźnie kłępująca. Jednak po pewnym czasie, gdy omówili już kwestie dotyczące rynków zbytu, rentowności oraz struktury Chester Fabrics i przeszli do bardziej ogólnej rozmowy o karaibskiej historii i kulturze, Virginia poczuła, że nastąpiło pewne odprężenie w ich wzajemnych stosunkach.

Być może wcześniejsza konfrontacja rozładowała część napięcia, narastającego między nimi. Ale czy było ono między nimi, czy też przede wszystkim w niej? Teraz nie była już tego pewna. Tak czy owak, swoje powiedziała. Związki Guya Sterna z innymi kobietami nie były jej sprawą. Teraz przynajmniej nie będzie miał wątpliwości, że przelotny związek z nią nie wchodzi w grę...

I choć niezbyt lubiła Guya Sterna, musiała przyznać, że dziwnie łatwo się z nim rozmawiało.

W Castries spacerowali ruchliwymi ulicami, kupili chleb, ser i owoce na piknik, wypili mrożony rum w kawiarni na świeżym powietrzu, gdzie w przyjaznej atmosferze rozmawiali o długich zmaganiach Anglików i Francuzów o Santa Lucię, oraz próbowali rozszyfrować rozbrzmiewający wokół nich miejscowy francuski żargon.

W bezcłowym sklepie Virginia zauważyła, jak dwie Angielki kupujące biżuterię z nie skrywanym zainteresowaniem patrzą na Guya. Wyraźnie sprawiało mu to przyjemność i uśmiechał się z zadowoleniem. Znowu poczuła się zakłopotana. Czyżby w istocie była o niego zazdrosna?

To zaskakujące uczucie sprawiło, że w drodze powrotnej na wybrzeże przez cały czas milczała, przeklinając własną głupotę. Jeśli ulegnie pokrętnemu urokowi tego człowieka, to będzie to znaczyło, że choroba wpłynęła niekorzystnie nie tylko na jej ciało, ale również na umysł. Na litość boską, przekonywała się rozpaczliwie, przecież on zdradza narzeczoną z Anglii, i jeśli incydent z ostatniego wieczoru mógłby czegoś dowodzić, to tylko gotowości na krótki flirt z nią, mimo obecności Tary...

Był niemoralny nie tylko w życiu prywatnym, lecz i w interesach. Rozważał niewątpliwie podział Chester Fabrics, żeby na tym zarobić...

I, na domiar wszystkiego, przerażał ją naprawdę, seksualnie... Niedawna historia z Mortimerem była jeszcze świeża i bolesna. Uczucia, jakie wzbudził w niej Guy Stern poprzedniego wieczoru, mogły prowadzić tylko do stanu wyjątkowego poniżenia, którego przysięgła sobie uniknąć za wszelką cenę...

Rzucili kotwicę w pustej zatoczce, otoczonej palmami. Na półkolistej piaszczystej plaży rozpakowali kosz i zjedli posiłek na świeżym powietrzu.

- Znów jesteś bardzo milcząca. Czy nie przesadziliśmy ze zwiedzaniem?

- Nie... To pewnie z powodu rumu. Chyba jestem trochę wstawiona.

Guy rozłożył ogromny jasnobłękitny ręcznik prawie nad samą wodą i ustawił obok niego białą-szmaragdową parasolkę.

- To ta wilgoć w tropikalnym powietrzu. Usiądź i odpręż się, a ja będę kelnerem. Czy miałaby pani ochotę na kalifornijskie białe chardonnay, z chlebem i serem?

- Najpierw muszę trochę ochłonać. Idę popływać. - Nagle poczuła, że chce pobyć sama. Zrzuciła szorty i pobiegła do wody w jednoczęściowym oliwkowym kostiumie kąpielowym. Mimo iż miał duży dekolt na plecach i odsłaniał jej biodra, czuła się w nim pewniej niż w bikini. Woda była cudownie orzeźwiająca. Po głośnym pluśnięciu zorientowała się, że Guy także wszedł do wody i zobaczyła, jak bezbłędnym kraulem dopłynął do jachtu, a potem z powrotem do brzegu. Rok temu mogłaby z nim wygrać wyścig do jachtu, a może nawet zdążyłaby wejść na pokład i się schować...

- Nie przejmuj się - powiedział spokojnie, kiedy zwierzyła mu się ze swego zmartwienia. - I nie spiesz się. Zanim się spostrzeżesz, będziesz już w pełnej formie.

- I tak mówi syn znanego lekarza?

- Tak mówi zdrowy rozsądek. Zdrowy rozsądek powiada też, by nie przebywać zbyt długo w karaibskim słońcu.

Suszyła się, leżąc na brzuchu i przytulając twarz do ramienia.

Zaryzykowała i obrzuciła wzrokiem leżące obok niej muskularne ciało w króciutkich czarnych kąpielówkach podkreślających ciemną równomierną opaleniznę. Kiedy podniosła wzrok do jego twarzy, zdała sobie sprawę, że z rozbawieniem obserwował ją. Zmrużyła oczy i gorączkowo myślała nad jakimś nie zobowiązującym tematem rozmowy, ale ten, który jej przyszedł do głowy, okazał się daleki od neutralności.

- Czy często widzisz się ze swoją rodziną?

- Aż do niedawna najrzadziej, jak mogłem.

- To brzmi dość gorzko. - Nie zaskoczyła jej ta odpowiedź. Pamiętała, jak zareagował, gdy tego wieczoru, kiedy zemdląca, po raz pierwszy spytała go o ojca.

- Nie wszyscy mogą mieć szczęśliwe rodziny. Mnóstwo rodzin stwarza sobie piekło i trzeba mieć szczęście, żeby w ogóle to przetrzymać.

Obojętny ton głosu nie zmylił jej. Guy Stern nie tylko unikał spotkań ze swoją rodziną, ale nie chciał też o tym mówić. Ciekawość jednak zwyciężyła.

- Byłeś jedynakiem? Zaśmiał się krótko, ponuro.

- Aż do dwunastego roku życia. Potem moi rodzice wyciągnęli z kapelusza starszą siostrę. Przewyciężenie tego szoku zajęło mi trochę czasu.

- Jak to, starszą?

- Upiór z przeszłości. Poznali się, gdy byli studentami. Ojciec studiował medycynę, a matka psychologię. Nie mogli sobie wtedy pozwolić na wychowywanie dziecka, więc oddali je do adopcji. Potem się pobrali. Sądzę, że byłem ich kolejną wpadką, tylko że mnie postanowili nie oddawać.

- A ona, to znaczy twoja siostra, kiedy dorosła, odnalazła twoich rodziców?

- Właśnie.

- Ale bomba!

- O ironio, Claire jest do nich bardzo podobna. Pracuje w opiece społecznej. Świetny fachowiec. Ja zaś zrezygnowałem ze starań o to, by ojciec był ze mnie zadowolony. Oparłem się presji jego „ataków serca”...

- Czy chcesz powiedzieć, że namawiał cię, byś poszedł w jego ślady i został lekarzem?

- Dokładnie.

- A ty, zamiast tego, wybrałaś pracę w City?

- Nieźle, co? Czy mogę wiedzieć, panno Chester, jakie są powody tego przesłuchania?

- Przepraszam... Nie przesłuchiwałam cię. Interesowało mnie...

- A ja się spowiadałem z historii swego życia, jak na łożu śmierci. Jesteś trudnym, ale dobrym słuchaczem.

- To dość dwuznaczny komplement.

- Trudnym, ze względu na wszystkie twoje tyrady i pouczenia.

Zaliczyłbym cię do osób zbyt zakochanych we własnych, jedynie słusznych opiniach, by umieć wysłuchać opinii innych ludzi.

- Dziękuję. Słuszność to nic złego!

- O ile nie jest hipokryzją. Zapadła krótka, pełna napięcia cisza.

- Nie jestem hipokrytką i mierzi mnie obłuda - odparła w końcu głosem zdławionym, drżącym od emocji. - Może to ty wyzwalasz we mnie wszystko, co najgorsze.

- Rozumiem. Znowu moja wina? - Naigrawał się z niej złośliwie, ale gdy podawał jej wino, spojrzała mu w oczy i zaskoczył ją ich ciepły błysk.

Wypiła duży łyk wina i przez chwilę obserwowała przepływający obok zatoki wypełniony turystami statek wycieczkowy, z którego dochodziły śmiechy i dźwięki muzyki.

- Powiedziałeś, że do niedawna rzadko widywałeś rodzinę. Co się zmieniło?

- Zachorowała moja matka.

- Bardzo mi przykro...

- Już wyzdrowiała. Siedzenie przy jej łóżku razem z ojcem i siostrą dało mi... pewną rekompensatę.

- Wasze stosunki poprawiły się?

- W pewnym stopniu. - Nieoczekiwanie uśmiechnął się rozbrajająco. - A teraz twoja kolej.

- Słucham?

- Twoja kolej, by na moje pytania odpowiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Lekko wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

- Zapewniam cię, że w moim życiu nie było niczego szczególnie interesującego. Jeśli znasz Charlesa i Lucy od lat, to znasz w zasadzie całą moją przeszłość...

- Kim jest ten mężczyzna, Virginio?

- Co takiego? - Mimo opanowania, poczuła nagłe uderzenie krwi do głowy.

- Mężczyzna odpowiedzialny za twój wyniosły chłód...

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym...

- Chwileczkę. - Zdjął okulary i badawczo przyjrzał się jej plecom. - Opalałaś plecy i słońce je nieźle przypiekło. Odwróć się, to ci je posmaruję kremem do opalania.

Po kilku chwilach wahania doszła do wniosku, że odmowa upewniłaby go w przekonaniu, że jest zimną małą purytanką, z zahamowaniami wobec kontaktów fizycznych z mężczyznami. Z rezygnacją skinęła głową na znak zgody i zmieniła posłusznie swą pozycję.

- Powiedziałaś, że nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówię - podjął łagodnym tonem, zsuwając ramiączka kostiumu z jej pleców. Zagryzła mocno wargę, gdy zimny krem zetknął się z rozpaloną skórą. - Ale to nieprawda. Wiesz doskonale, o czym mówię, Virginio. Przyznaj to.

Trzymała kurczowo przód kostiumu, zagryzając wargi, gdy zataczał rękami coraz większe koła, rozmasowując krem na jej ramionach i talii.

- Coś lub ktoś jest powodem tego, że boisz się mężczyzn. Nie wierzę, żebym tylko ja potrafił wzbudzić w tobie tak niepohamowaną niechęć...

- Twoja próżność ci na to nie pozwala - przerwała gwałtownie.

- Nie grzeszysz przenikliwością w poznawaniu prawdy, Virginio. A gdybym ci powiedział, że Nicola Schreider jest moją byłą narzeczoną i że to twoje stanowcze potępienie nie ma sensu, czy pozwoliłabyś się znowu pocałować?

- Zdarza się, że ktoś może być bardzo odpychający już od pierwszego wejrzenia. - Cała drżała. Musiał to wyczuwać. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, że Guy ma jakieś telepatyczne zdolności i potrafi odczytać każdą myśl tchórzliwie przemykającą w jej mózgu, jej złość, przerażenie i zażenowanie, że prowadzi jakąś grę...

- W takim razie, jest też całkiem prawdopodobne, że ktoś może być silnie pociągający od pierwszego wejrzenia. Jak sądzisz?

Miękki melodyjny tembr jego głosu nadzwyczaj ją niepokoił. Tym sposobem spełniał swoją obietnicę naśladowania księdza, pomyślała z goryczą. Umyślnie mówił takim zmysłowym głosem.

Zamknęła oczy. Rytmiczne ruchy jego palców na skórze wywoływały nie kontrolowane drżenie, przebiegające przez całe jej ciało.

- Myślę, że już wystarczy - powiedziała spiętym głosem. - Jestem najedzona i nie chcę już więcej wina. Czy moglibyśmy wrócić do willi?

- Naturalnie. Czemu nie? - Obojętnie nasunął ramiączka kostiumu na miejsce i odsunął się od niej. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy zbliżali się do domu, usłyszeli dzwoniący telefon. Guy podniósł słuchawkę i odpowiadał zdawkowo, pomyślała więc, że nie powinna się przysłuchiwać rozmowie i cicho wymknęła się do swojej sypialni, próbując stłumić ciekawość, czy jest ona prywatna, czy służbowa. To przecież jej nie dotyczy. Intrygujące było tylko to, czy osobie, z którą rozmawia, stawia twarde warunki finansowe, czy też rozmowa dotyczy jakichś problemów osobistych...

Odczuła ulgę, gdy znalazła się w ciszy swej sypialni. Starannie zamknęła za sobą drzwi, wzięła uspokajający prysznic i zanim padła na łóżko, uznała, że tak czy inaczej, był to szczególny dzień. Od chwili gdy się tu zjawiła, prowadziła nie ustającą walkę, nie mając stuprocentowej pewności, z czym, w istocie rzeczy, walczy.

Odrzuciła na kark falę mokrych włosów, podeszła do szklanych drzwi i otworzyła je, by poczuć powiew wiatru. Widok chłodnego basenu był bardzo zachęcający, ale powietrze było ciężkie i wilgotne, chyba zanosilo się na burzę.

Położyła się na łóżku, ale nie mogła uleżeć spokojnie. Szukała przyczyny swojego napięcia w zamęcie własnych myśli. Czy chodziło jej o to, że Guy jest w stanie uzyskać pełną władzę nad Sarah Chester, czy też o narastający w niej lęk, że może uzyskać władzę innego rodzaju?

Mimo iż było gorąco, lekko zadrżała na wspomnienie dotyku jego rąk na swoich plecach... reakcji, jakie nią wówczas zawładnęły. Przeraziły ją własne myśli, poderwała się i usiadła. W lustrze wiszącym naprzeciw obserwowała w półmroku swe odbicie. To było nie do zniesienia... Po karygodnym zachowaniu się Mortimera, stała się chłodna emocjonalnie. Nawet wobec najbardziej sympatycznego i dobrze wychowanego kolegi z college'u nie potrafiła pozbyć się sztywności. Więc dlaczego teraz? Jak taki łajdak jak Guy Stern mógł rozbudzić w niej te gnębiące ją boleśnie pragnienia?

Smutno stwierdziła, że jeśli nie wyładuje w pływaniu choć części tej elektryzującej energii, jaka się w niej nagromadziła, to będzie pierwszym przypadkiem samozapalenia się na Santa Lucii. Wskoczyła z łóżka i zmieniła bawełnianą koszulę nocną na pierwszy z brzegu kostium kąpielowy, jaki znalazła w walizce. Był złotego koloru, przybrany delikatną koronką. Włożyła na włosy ciemną opaskę i kierując się w stronę basenu weszła cicho w ciemność nocy.

W zetknięciu ze skórą woda przypominała chłodny jedwab. Zebrała wszystkie swe siły i pokonała dwie długości basenu, uświadamiając sobie stopniowo, że od dawna nie czuła się tak dobrze. Mimo ogromnego upału, nie miała dzisiaj bólu głowy. Nie ogarniała jej już taka słabość i zmęczenie...

Gdy dopłynęła do końca płytszej części basenu, zobaczyła, że na brzegu siedzi Guy, zanurzając swe długie nogi w chłodnej wodzie. Na jego widok niepokojąco zabiło jej serce, ale w półmroku nie mogła wyczytać z jego twarzy, w jakim jest nastroju.

- Było mi gorąco - wyjaśniła krótko - i pomyślałam, że pływanie dobrze mi zrobi.

Patrzył na nią w skupieniu, które tak ją onieśmielało, że zapragnęła zanurkować, czując się nagle tak, jakby jej kostium był przezroczysty.

- Czy mogę popływać z tobą? - spytał krótko, rzeczowym tonem. Nie był to głos pełen groźnych pokus.

- To twój basen.

- To prawda, ale pomyślałem, że mogłabyś wpaść w popłoch, gdybym w tej ciemności wyłonił się nagle za tobą.

Wstał, przeszedł na brzeg głębszej części basenu i skoczywszy do wody wynurzył się po przepłynięciu co najmniej połowy jego długości. W chwili gdy zbliżał się do niej, po niebie przebiegła błyskawica i prawie równocześnie rozległ się nad nimi ogłuszający grzmot. Ogarnął ją lęk, który starała się przezwyciężyć przekonując siebie, że nigdy nie bała się burzy. Ale też nigdy nie

była wówczas w basenie, w sercu tropikalnych Karaibów, i to właśnie budziło w niej grozę.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo oślepiającym blaskiem. Guy dostrzegł wyraz twarzy Virginii i podpłynął bliżej.

- Wejdziemy do domu? Jeśli będziemy mieć szczęście, to możemy zobaczyć, jak pioruny biją w morze.

- Jeśli będziemy mieć szczęście? - Nagle zaczęła szczękać zębami.

- To bardzo widowiskowe. - Ujął ją w tali i bez wysiłku posadził na brzegu basenu, potem podciągnął się lekko i usiadł obok niej. Z pewnym zdumieniem stwierdziła, że z czasem przyzwyczajają się do niepokojącego dotyku jego dłoni... - Chodźmy, wewnątrz będzie bezpieczniej i sucho. Nie ma powodu wstydzić się strachu. Tutejsze burze zasługują na szacunek.

- Ty też się boisz? - Niespodziewanie zaśmiała się, gdy znaleźli ręczniki i schronili się w salonie. - Odważny jesteś, że się przyznajesz!

- Kiedy zobaczysz, jak piorun styka się z wodą, zrozumiesz, że jest się czego bać. Nie sądzisz chyba, że jestem przesadnie ostrożny... - Energicznie wycierając włosy ręcznikiem, rzucił jej zirytowane spojrzenie.

- Nie... - Nie mogła powstrzymać się teraz od uśmiechu. Wytarła włosy i owijając się ręcznikiem podeszła do drzwi prowadzących na taras.

Nie padało jeszcze, ale burza szalała z nieokiełznaną siłą. Przyglądali się zygzakom błyskawic, przecinającym czerń nieba, kiedy w willi nagle zgasło światło. Pograżyli się w ciemności obserwując groźny spektakl, podczas którego świetliste kule zataczając ogromne łuki waliły w powierzchnię morza z ogłuszającym grzmotem.

- Czy nadal uważasz mnie za mięczaka? - spytał półgłosem Guy, z ustami blisko jej ucha.

- Mhm, chyba tak.

Zaśmiał się gardłowo i obróciwszy ją delikatnie twarzą do siebie, przez długą chwilę dokładnie oglądał od stóp do głów.

- Wyglądasz znacznie lepiej. Poprawiłaś się i twoja skóra nabiera ładnej opalenizny. A co z bólami głowy?

- Przeszły, jak myślę... - Odchrząknęła nerwowo. Powinna być wściekła za protekcyjną ocenę jej obecnego wyglądu, a zamiast tego czuła tylko, jak dotyk jego rąk trzymających ją za ramiona porusza każdy nerw jej ciała.

- Ty drżysz - powiedział miękko, wpatrując się w jej twarz. - Zimno ci?

- Nie, czuję się dobrze... Guy, nie... - Zaszło jej w gardle, patrzyła na niego błędnym wzrokiem, niepewna, co chciała powiedzieć.

- Czego mam nie robić? Nie dotykać cię? Dotykałem cię dzisiaj wiele razy - drażnił ją miękkim głosem - i nie gryzłaś ani nie drapałaś. A może jednak chciałabyś, abym cię dotykał?

- Guy... proszę...

- Prosisz, o co? Żebym cię nie całował? - wyszeptał przekornie, tak blisko jej ust, że poczuła na wargach jego ciepły i świeży oddech. - To dobrze, że jesteś tak stanowcza w swojej wrogości wobec mężczyzn, Virginio, bowiem chodzi o to, że chcę zrobić znacznie więcej, niż tylko cię całować...

Kiedy przyciągnął ją do siebie i objął, mimowolnie wstrzymała oddech, a gdy ich ciała zetknęły się, usłyszała jego stłumione westchnienie. Przesunął dłońmi wzdłuż jej długich wysmukłych pleców. Ręcznik opadł na ziemię. Elastyczne złoto jej kostiumu wydawało się topnieć w żarze, jaki ich ogarnął.

- Guy, czuję... Nie wiem... - szeptała nieprzytomnie. Fale ciepła zalewały ją, uniemożliwiając wszelkie racjonalne reakcje. Bezwiednie uniosła dłonie ku jego twarzy, zmysłowo przesunęła po niej palcami i zanurzyła je w wilgotnej czerni jego włosów.

Jego usta dotknęły jej rozchylonych warg z gwałtowną, niecierpliwą brutalnością. Mimo oszołomienia, wydało jej się, że dostrzegła w jego oczach błysk zaskoczenia, gdy poczuł, jak cała drży. Zamknęła wówczas oczy i pozwoliła, by ten żywiołowy ogień przeniknął ją na wskroś. Guy zaś całował ją

coraz namiętniej, jak gdyby chciał napić się z niej, by uniknąć śmierci z pragnienia.

Oderwali się od siebie i w ogłuszającej ciszy patrzyli sobie w oczy.

- Jak na wylęknioną skromnisię nieźle sobie radzisz ze zmysłowymi pocałunkami - drażnił ją, oddychając ciężko.

- Może... może twoja opinia o mnie jest nie całkiem zgodna z prawdą?

Zauważyła, że Guy przygląda jej się bacznie.

- Jesteś bardzo piękna, Virginio... - powiedział szorstko, lekko chropawym tonem.

Uniósł ręce i zsunął jej z ramion ramiączka kostiumu, a potem nieśpieszonymi ruchami uwalniał jej skórę od przylegającego doń, wilgotnego złota. Chłodniejsze nocne powietrze owiało wyczulone na dotyk piersi i kiedy ręce Guya dotykając ich jędrnych kształtów dotarły do sutków, napotkały ich twardość. Zbliżył się nieco i schylił ciemną głowę, zamieniając pieśczołę dłoni na pieśczołę języka i warg. Pożądanie owładnęło nią całą.

- Guy... Ledwo stoję... - wyszeptała z niewymowną udręką. W odpowiedzi objął ją ramionami, mocno przyciskając do siebie, a zetknięcie z jego pulsującym pożądaniem wywołało u niej mnóstwo nie znanych dotąd, wszechogarniających doznań. Szorstki dotyk owłosionego torsu był nadzwyczaj podniecający.

- Połóżmy się więc. - Gardłowy pomruk wzbudził w niej falę ciepła. - Wątpię, bym i ja mógł długo jeszcze ustać w tej pozycji.

Ogromne łóżko w sypialni Guya przypomniało jej chwilę, gdy nieoczekiwanie wszedł tam pierwszego wieczoru. Leżąc na jedwabnej kraciatej narzucie spojrzała na pochylonego nad nią ciemnego muskularnego mężczyznę. Po przyjemnych i podniecających falach ognia zaczynały ogarniać ją niepokojące uczucia. Resztki świadomości ostrzegały, ale nie tak łatwo było raptownie ugasić pragnienia ciała, zwłaszcza że Guy zsuwając z niej złoty kostium, pocałunkami okrywał jej stopniowo wylaniającą się delikatną skórę.

- Jesteś cudowna... - Jęknął z rozkoszy, a gdy odkrywał intymne miejsca jej ciała, wydało jej się, że czuje gwałtowny protest przeciwko nieskromnemu obnażeniu i nagle ogarnął ją palący obezwładniający wstyd.

Półprzytomna, zdała sobie sprawę, że gryzie pięści tak mocno, że prawie krwawią. Coś było z nią nie tak. Lęk tkwił w niej nadal. Po tym co zrobił jej Mortimer, nie mogła już nikomu zaufać.

Naiwnie sądziła, że potrafi ukryć przed Guyem swe uczucia. Ale przekonanie, że Guy Stern jest mężczyzną, który nie jest wystarczająco wrażliwy, by wyczuć jej paniczny lęk, szybko okazało się fałszywe. Lęk nie wymaga słów i, jak się okazało, Guy nie miał żadnych trudności w rozpoznaniu go.

- Otwórz oczy, Virginio. - Jego głos był łagodny, ale zdecydowany. - Popatrz na mnie...

Otworzyła szeroko oczy, odwróciła głowę i zobaczyła u swego boku nagą postać Guya.

- Pragnę cię. Widzisz sama, jak bardzo cię pragnę. - Złożył na jej ustach długi namiętny pocałunek, a następnie ujął jej drżącą rękę i poprowadził tak, by mogła wyczuć, jak wielkie jest jego pożądanie. - Ale nie gwałcę ani nie zabijam małych dziewczynek, które się mnie boją. To ja chcę kochać się z tobą, a nie ktoś z twojej wyobraźni...

- To nie to! - wyszeptała przerażona, że o to ją posądza. - Naprawdę, to nie...

- Cokolwiek to było... - głos miał zdławiony, przerywany tłumioną bezlitośnie żądzą - właśnie się skończyło...

Odsunął się, jakby nie ufając sobie, gdy był tak blisko niej, i spuścił nogi na podłogę i z roztargnieniem przeciągnął ręką po włosach.

- Muszę sobie zrobić badanie mózgu - powiedział po nie kończącej się ciszy. - Co ja, do cholery, robię? Próbuję uwieść małą siostrzyczkę Charlesa?

- Nie bierz wszystkiego na siebie - powiedziała bliskim płaczem głosem, powstrzymując łzy. - Przykro mi, Guy. Było... było w porządku. A potem znowu było coś nie tak. Nie wiem, jak to wyjaśnić...

Odwrócił się do niej szybko, ale twarz miał ukrytą w cieniu.

- Wszystko w porządku, Virginio - powiedział cicho. - Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Spójrzmy prawdzie w oczy... - Odsunął z jej oczu złotorude loki. - Przecież ledwie się znamy, prawda?

Jego ręka nadal lekko drżała.

Virginio tłumiąc okrzyk wtuliła twarz w poduszkę, zanosząc się rozdzierającym szlochem.

- Virginio... - Przysunął się bliżej i dotknął dłonią jej karku, ale gwałtownym ruchem głowy odtrąciła ją.

- Nie dotykaj mnie. Proszę!

- Dobrze. Uspokój się. Czy chcesz o tym pomówić?

W milczeniu zaprzeczyła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Tak czy owak, miał rację, że prawie się nie znali. To tylko zbyt wiele gorącego karaibskiego słońca i zbyt wiele zwodniczo chłodnego chardonnay spowodowało ten upiorny epizod.

- Przepraszam, Guy...

- Nie przepraszaj. - Wstał i poszedł do jej sypialni po szlafrok, który podał jej z kwaśną miną. - Lepiej czuj się bezpiecznie.

- Jakby na ten sygnał zamrugało światło i po chwili paliło się już normalnie. Wzięła szlafrok i owinęła się w niego, dręczona świadomością, że z zapuchniętymi oczami musi wyglądać okropnie. Guy patrzył na nią nie zdradzając żadnych uczuć, całkowicie nie skrepowany swoją nagością.

- Dziękuję. - Upokorzona, podniosła się z łóżka i szybko podeszła do drzwi. - Dobranoc.

- Dobranoc, Virginio - odpowiedział zamyślonym głosem, który brzmiał jej w uszach jeszcze długo po tym, jak skryła się w prywatność swego pokoju i leżąc pod narzutą wzdychała, by sen przyniósł jej wreszcie zapomnienie.

Rano jadła samotnie śniadanie na tarasie. Upływały długie minuty, a Guy się nie pojawiał i dopiero Tara udzieliła jej wyjaśnień. Nie była pewna, czy w miętym głosie dziewczyny dało się słyszeć ton potępienia, czy tylko go sobie wyobraziła.

- Guy poleciał do Londynu. Miał pilne interesy.

- Och... - Nie potrafiła ukryć konsternacji.

Guya nie ma? Przeniknęło ją uczucie zawodu, łudząco podobne do bólu. Mimo zakłopotania, w pełni uświadamiała sobie ogarniające ją poczucie straty.

Próbowała uporządkować myśli. Czy wrócił z powodu Chesterów? Czy niepowodzenie ostatniej nocy mogło wpłynąć na jego postawę wobec firmy? Czy odszedł z powodu ostatniej nocy? Może wrócił do Londynu, by szybko załatwić sprawę Sarah Chester i móc uniknąć krępujących spotkań z nią w przyszłości?

A może wyjechał, by pogodzić się z narzeczoną? Może ten tajemniczy telefon poprzedniego wieczoru był od Nicoli Schreider, a może nawet od jej ojca, współnika Guya w interesach? Ostatecznie, skoro Lucy tak, a nie inaczej przedstawiła fakty, to musieli być zaręczeni aż do bardzo niedawna...

Powoli budziło się w niej uczucie upokorzenia. Zapewne podczas tej rozmowy telefonicznej uzgodnił termin swego powrotu. Później uwodził ją, chcąc wykorzystać okazję...

Zamknęła na chwilę oczy, próbując zrozumieć samą siebie. Mogła nie ufać Guyowi Sternowi, mogła go nawet nie bardzo lubić, mogła podejrzewać, że jest bezwzględny kobieciarzem i spekulantem... ale chciała, by był tutaj, z nią... No i gdzie tu logika?

W ciemnobrażowych oczach Tary, badawczo przyglądających się niepewnemu wyrazowi twarzy Virginii, błysnęło lekkie rozbawienie.

- To była nagła decyzja. Prosił, abym pani to powtórzyła. Proszę się nie martwić, zostanę tu i będę dbać o willę i o panią.

- Nie ma potrzeby - odparła szybko Virginia. - Prawdę mówiąc, wolałabym gotować i pracować sama. Dziękuję, Taro.

- Guy prosił, abym została - uprzejmie zaproponowała Tara, zabierając pusty talerz i filiżankę. - Płaci mi za to, że zajmuję się willą.

- Tak. Wiem... - Virginia obserwowała wyraz twarzy Tary, próbując odgadnąć, czy mówiła prawdę. Poczula nagle suchość w gardle i przełknęła ślinę. - Czy to wszystko...? To znaczy, czasami miałam wrażenie, że pani i Guy jesteście...

To było okropne. Tara spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Że Guy i ja byliśmy kochankami? - Z uśmiechem na ustach, dziewczyna powoli pokiwała głową. - Oczywiście, że byliśmy. - Obrysowała językiem linię swych pełnych warg i nagle roześmiała się. - Guy jest wspaniałym kochankiem. Jest typem mężczyzny, którego żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach nie odrzuci, jeśli pani wie, co mam na myśli. Ale lubi urozmaicenie. Widziałam, jak patrzył na panią... Tak właśnie patrzy na kobiety. Ja jestem w szczęśliwej sytuacji. On lubi się relaksować, a ja umiem mu w tym pomóc. Kocha willę „Koliber” i tę wyspę. Więc może pewnego dnia... może już w najbliższym czasie, może następnym razem, a może kolejnym... może i mnie pokocha?

- Tak. Może. - Virginia poczuła, jak obojętnieje uczuciowo. Przez resztę pobytu na wyspie ani przez chwilę nie zaprzętała sobie głowy myślami o uczuciach wiążących się ze spotkaniem Guya, które o mały włos nie doprowadziły jej do zguby.

Pływała, opalała się, zwiedzała, projektowała, prowadziła ożywione rozmowy telefoniczne z Lucy, Charlesem i ojcem. Powstrzymywała się od pytania, czy Guy działa już w firmie, ale aż wzdrygnęła się, gdy usłyszała od Lucy, że swoim wystąpieniem podczas nadzwyczajnego posiedzenia zarządu

zirytował większość dyrektorów, zapowiadając podjęcie radykalnych środków dla wzrostu rentowności firmy, redukcję zatrudnienia...

Tylko w czasie samotnych nocy, których ciszę zakłócał jedynie szum wentylatora, powracało poczucie własnej bezdennej głupoty, bo czyż mogła winić jedynie słońce, morze i wino?

Kiedy wróci do Anglii i w świetle chłodnego pochmurnego dnia angielskiego lata zobaczy Guya Sterna, równowaga i zdrowy rozsądek oraz odrobina niezbędnego w życiu cynizmu bez wątpienia powrócą same, bez jakiegokolwiek wysiłku z jej strony.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Charles z rozdrażnieniem patrzył przez przydymione okna swego biura na ołowiane, wrześnie niebo.

- Muszę przyznać - powiedział - że nie jest dla mnie jasne, do czego zmierza Guy. I jakie są zamiary taty...

Virginia spoglądała na niego wyczekująco, nie pierwszy raz w ciągu ostatnich dni dziwiąc się, jakim cudem udaje jej się zachować spokój, gdy imię Guya pojawia się w rozmowie. Minęły już tygodnie od tej pamiętnej nocy, pełnej grzmotów i błyskawic. Od tego czasu nie widziała Guya i to, co się wydarzyło, wydawało jej się teraz snem lub raczej sennym koszmarem.

- Tata chowa głowę w piasek. Znam to, bo odziedziczyłam po nim ten zwyczaj. Ale Guy Stern walczy o władzę. Dziwi mnie, że tego nie widzisz!

- Guy jest moim starym przyjacielem...

- A w przyjaźni i w interesach wszystko można wybaczyć!

Charles odgarnął pasmo włosów, które jak zwykle opadało mu na oczy i wzruszył ramionami z irytacją.

- Posłuchaj, Virgie. Może tata prowadzi strusią politykę, ale ty gdczesz nad rodzinnymi kłopotami jak zazdrosna kwoka...

- To nieprawda! Jak ci się podoba to, że tata mianował Guya dyrektorem? Czy zamierzasz oddać bez walki założoną przez naszą babcię firmę?

- Bez Guya Sterna bank nawet nie chciał o nas słyszeć. Teraz przyznali nam kredyty i chętnie poparli utworzenie nowej linii produkcyjnej. To Guy przywiózł ze Stanów technologię, która skraca cykl produkcyjny w przemyśle odzieżowym w zupełnie niewiarygodnym stopniu...

- Świetnie - ucięła Virginia. - Skoro wiesz to wszystko, dlaczego sam tego nie zrobisz? Dlaczego musieliśmy wziąć takiego krwiopicę jak Guy Stern?

- Zapominasz o banku - powiedział kwaśno Charles. - Ich zdaniem mieliśmy dosyć czasu, aby znaleźć jakieś rozwiązanie i przejąć inicjatywę. Teraz pokładają całe zaufanie w Guyu.

- Jeśli Guy jest tak zaangażowany w przywracanie Sarah Chester Fabrics do życia, dlaczego nigdy go tu nie ma? Dlaczego jest taki tajemniczy?

Charles rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Guy zawsze postępuje w ten sposób.

- Czyli zbawca i kat postępują tak samo?

- A na kimże to ma być wykonana egzekucja? - Od drzwi dobiegły Virginię cedzone przez zęby słowa. Odwróciła się z wolna i serce jej zamarło. Wściekła, zdała sobie sprawę, że rozpoznałaby ten głos wszędzie - we mgle, w ciemnościach i na najdalszych krańcach świata. Zesztywniała na myśl, że znów go zobaczy i serce zabiło gwałtowniej jej w piersi. Nie był to już ten swobodny, sarkastyczny, niedbale ubrany mężczyzna, którego poznała w willi „Koliber”. W ciemnym garniturze, ciemnym jedwabnym krawacie i kremowobiałej koszuli kontrastującej z jego ogorzałą twarzą, Guy Stern wyglądał na groźnego przeciwnika. Był obcym człowiekiem.

- Cześć, Guy. - Twarz Charlesa rozjaśniła się w powitalnym uśmiechu. - Straciłeś właśnie zebranie zarządu, stary. Jak leci?

Szarozielone oczy Guya na krótko zatrzymały się na twarzy Charlesa, po czym intensywnie wpatrzyły się w Virginię. Jej pewność siebie i

zrównoważenie ustąpiło nagle przemożnemu uczuciu zakłopotania. Natychmiast uświadomiła sobie wszystkie szczegóły swego wyglądu - od podpiętych wysoko złotorudych loków, poprzez elegancki cynamonowy kostium z gabardyny, po buty na wysokim obcasie. Oblizwała nerwowo wargi i poczuła smak koralowej pomadki, której użyła specjalnie, by wyglądać dziś poważniej.

- Witaj, Virginio. Wyglądasz dziś bardzo... dorośle.

Chciała powiedzieć, że rzeczywiście jest już bardzo dorosła, ale uznała, że mijałoby się to z celem. Zmusiła się do uprzejmości.

- Dziękuję, ty też...

Jej żart nie wywołał uśmiechu.

- Przepraszam, że nie byłem na zebraniu, ale miałem spotkanie z przewodniczącym Farthingdales.

- Nasi najwięksi konkurenci - zauważyła Virginia.

- Słuszna uwaga. Dobrze znać zamiary przeciwnika - potwierdził ironicznie.

- Zapewne. To bardziej pożyteczne niż dzielenie się swoimi planami z zarządem firmy Chesterów?

- Z całą pewnością.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją głośny dźwięk telefonu.

- Obowiązki mnie wzywają - powiedział Charles odkładając słuchawkę. - Do zobaczenia, Guy.

Wyszedł, pozostawiając ich sam na sam w pustym biurze.

- Co u ciebie słyhać? - przerwał w końcu milczenie Guy, wpatrując się w zarumienioną twarz Virginii.

- Dobrze wyglądasz.

- To z powodu opalenizny. Rzeczywiście, dobrze się czuję. - Z trudem zapanowała nad sobą, starając się nie wspominać zmysłowych przeżyć ich ostatniej nocy. - Po twoim wyjeździe nie robiłam nic poza opalaniem się, pływaniem i spaniem.

- Pewnie lepiej odpoczęłaś beze mnie. - W jego głosie nie było żadnych emocji.

- Mam nadzieję, że nie skróciłeś wakacji z tego powodu?

- Nie jestem aż takim altruistą. - Pokręcił przecząco głową. Spojrzał na zegarek. - Powinienem już iść. Jestem z kimś umówiony. Spotkamy się dziś wieczorem.

Zatrzymał się w drzwiach, widząc jej zdziwienie i po raz pierwszy w jego wzroku pojawiło się rozbawienie.

- Czy twój ojciec ci nie powiedział?

- Czego?

- Zaproponował mi, żebym zatrzymał się w Armscott Manor. Domyślam się, że pani Chalk przygotowuje bażanta w czerwonym winie na dzisiejszy wieczór. Tak więc do zobaczenia o wpół do ósmej.

Virginia wstrząśnięta wracała do domu. Cóż ten tata właściwie sobie wyobraża? Może to przedwczesna skleroza? Trzeba przyznać, że w Armscott Manor nie brakuje miejsca, ale to jest ich dom... Zaprosić tam Guya, to jak opuścić zwodzony most przed wrogiem.

Zaparkowała swoje volvo pod cedrem i ruszyła w stronę domu. Była tak zła, że prawie nie czuła zacinającego lodowatego deszczu. To jest okropne lato, pomyślała, tak chłodne i wilgotne, że można je było wziąć za wczesną i równie wilgotną zimą.

Tata oczywiście znał jej nastawienie wobec Guya, ale nie domyślał się, jak bardzo osobiste były te uczucia. Odwiesiła wilgotny płaszcz w holu i zaczęła zaglądać do różnych pokoi w poszukiwaniu ojca. Nigdzie go jednak nie było.

W kuchni, z której dochodziły wspaniałe zapachy, kręciła się pani Chalk. Virginia chciała zaproponować jej pomoc, lecz rozmyśliła się i ruszyła na poszukiwanie Lucy...

- Kochanie, przecież on będzie tylko nocował w jednym z niezliczonych pustych pokoi gościnnych - tłumaczyła Lucy Virginii, gdy ta przysiadła na

brzegu jej łóżka. Wsparta o poduszki Lucy wyglądała na pozór zdrowo i pogodnie. Trudno wprost było uwierzyć w ostrzeżenia doktora, choć wszyscy, łącznie z Lucy, traktowali je bardzo poważnie. Zalecił jej wypoczynek, tak więc spędzała popołudnia w łóżku i schodziła dopiero na kolację. Doktor Newne miał zwyczaj wpadać nieoczekiwanie i sprawdzać, czy jego polecenia są ściśle przestrzegane. W przeciwnym razie musiałyby leżeć w szpitalu, aż do urodzenia dziecka.

- Nawet nie zauważysz jego obecności. Jeśli wierzyć w to, co mówi Charles, Guy większość czasu spędza w Londynie - dodała.

- Zdażyłam zaobserwować. Steruje wszystkim z daleka.

- Poza tym w Armscott jest dość miejsca dla wszystkich...

- Ale dlaczego ja się zawsze dowiaduję ostatnia?

- Jestem pewna, że znając ciebie, tata bał się wspominać o Guyu - roześmiała, się Lucy. - Wiesz, jak on nie znosi scen! Ale, ale... czy słyszałaś plotki o Nicoli Schreider?

- Nie wiem, czy chcę je usłyszeć.

- Ona i Guy rozstali się. Może to osłabić jego pozycję w Schreider Stern Incorporation!

Dobrze mu tak, pomyślała z niechęcią, w głębi duszy czując mimo wszystko radość, że przynajmniej tym razem powiedział prawdę...

- Jesteś taka cicha i skryta, odkąd wróciłaś z Santa Lucii. Płonę z ciekawości, jak wam tam było z Guyem. On jest takim znakomitym kompanem, nie uwierzę, że nie rozruszał cię choć trochę.

- Nie wiem, co masz na myśli. Nadal nie wierzę mu nawet za grosz, ale rzeczywiście, można z nim całkiem przyjemnie spędzić czas.

Trzeba przyznać, że to prawda, pomyślała z niechęcią, unikając badawczego spojrzenia Lucy. Nagle dotarło do niej, że najbardziej bolesne podczas owej burzliwej nocy było zerwanie nici porozumienia między nią a

Guyem. Brutalnie przerwał jej rozpaczliwe wysiłki wyznania prawdy. „Prawie się nie znamy” - powiedział.

Przymknęła na chwilę oczy, walcząc z tym nowym odkryciem. Jak mogła wszystko tak poplątać? Jak mogła nie ufać mu i pogardzać nim, a jednocześnie pragnąć jego przyjaźni? Po dwóch zaledwie dniach wypełnionych głównie kpinami i zaczepkami, miała wrażenie, że nie są dla siebie obcymi ludźmi. Przeciwnie, czuła się, jakby walczyła z Guyem całe życie. To wszystko było niezrozumiałe.

- Hej, ocknij się - powiedziała miękko Lucy. Virginia otworzyła oczy z przepaszającym uśmiechem.

- Powiedz mi lepiej coś o tej jego przyjaciółce z wyspy. Tara, tak ma chyba na imię?

- Ona szaleje za nim, a on to wykorzystuje. - Tak samo, jak wykorzystalby Nicolę Schreider, uświadomiła sobie trzeźwo. Dzięki Bogu, znowu panowała nad sobą. Intuicyjnie czuła, że porzucona przez Guya narzeczona została ocalona w ostatniej chwili. Mógł sobie być zdumiewająco przystojny, być wspaniałym towarzyszem zabawy, a nawet wyrafinowanym kochankiem... chociaż tego ostatniego nie mogła być do końca pewna. Ale żarty i seks to nie wszystko. Nicola Schreider z pewnością doceni uwolnienie się od bolesnej niepewności, jaką niesie miłość do Guya...

Miłość do Guya Sterna? Poczła suchość w gardle. Z wysiłkiem skierowała swe myśli na bezpieczniejsze tory.

- Szczerze mówiąc, myślę, że Nicola byłaby niemądra, gdyby oddała go bez walki. Guy jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu - powiedziała Lucy rozmarzonym głosem, dodając szybko:

- Nie licząc Charlesa, oczywiście.

Ale to właśnie Guy zajął miejsce koło Lucy podczas kolacji. Jego oszczędny, wyważony sposób prowadzenia rozmowy sprawił, że zwykłe rodzinne spotkanie przerodziło się w „specjalną okazję”. Tym bardziej, że na

stole pojawiła się kolejna niespodzianka w postaci butelki szampana, którą otwarto na cześć pomyślnie zdanych egzaminów Virginii. Ojciec od dawna nie patrzył na córkę tak ciepło.

- Obawiam się, że traktowałem cię nie dość poważnie przez ostatnie lata. -
W jego zmęczonych oczach błysnęła radość, a w głosie brzmiała skrucha.

- Ale jestem z ciebie bardzo dumny i twoja matka też by była...
Pracowałaś ciężiej od innych, ryzykując własne zdrowie. Pijemy dziś za twoje zdrowie i wspaniałą przyszłość, kochanie.

- Dziękuję, tato. - Virginia uścisnęła go serdecznie.

Spojrzeni na siebie z miłością i wszystkie ich dawne nieporozumienia poszły w niepamięć. Gdy znowu usiedli przy stole, w jej oczach błyszcząły łyzy radości. Napotkała utkwione w sobie spojrzenie Guya i odwróciła głowę. Chcąc ukryć zmieszanie, zaczęła wypytywać Lucy o miejscowe ploteczki. Żartobliwe dociekania, czy nowy wikary rzeczywiście pożądliwie spogląda na panie z parafialnego chóru, okazały się świetnym lekarstwem na przeżycia sprzed kilku minut. Przy stole rozbrzmiewały śmiechy i gwar rozmów. Nikt nie mówił o interesach. Tata rozpamiętywał swoją ostatnią partię golfa. Guy rozmawiał z Charlesem o żeglarstwie, a potem nieoczekiwanie skierował rozmowę na inny temat. Okazało się, że nie tylko opływał jachtem wyspę White, ale miał w tym czasie kilka razy okazję zobaczyć występy Królewskiego Teatru Szekspirowskiego. Dał się też poznać jako całkiem niezły znawca nowoczesnego baletu.

Zamiłowanie do baletu nie pasowało do tego zimnego jak lód supermana i Virginia miała już na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, gdy nagle przypomniała sobie, jak zareagował niegdyś na jej - jak to nazwał - uprzedzanie się. Pojawiło się także inne bolesne wspomnienie. Tara, jej śliskie ciało tancerki. Niewykluczone, że jego upodobanie do baletu jest autentyczne... Bezwiednie mnąc skraj kwiecistej spódnicy, ostatecznie odrzuciła pokusę zakpienia sobie z niego.

Może to nagły ból wywołany wspomnieniem Tary, a może świadomość, że człowiek, któremu nie ufała, tak łatwo wkreślił się do ich rodzinnego grona, sprawiły, że Virginia zdecydowała się przerwać tę wesołą rozmowę.

- Jeśli chodzi o naszą firmę... - zaczęła. Przy stole zapadła pełna zdziwienia cisza.

- Czy możemy porozmawiać o przyszłości naszej rodzinnej firmy, czy jest to temat zakazany w czasie posiłków? - Rozejrzała się wkoło, zatrzymując w końcu wzrok na spokojnej twarzy Guya. Z napięciem oczekiwała na odpowiedź, lecz wyraźnie nikt się do tego nie kwapił. Tata i Charles udawali, że są niezwykle zajęci dojadaniem bażanta, a Lucy wyglądała na bardzo zakłopotaną.

- No więc - nalegała - skoro taki finansowy ekspert jest dziś naszym jeńcem, wykorzystajmy tę rzadką okazję i zażądajmy sprawozdania. Ja co prawda nie pracuję w tej firmie, ale wiem, że nie jest z nią najlepiej. Podobno masz ją uratować spod topora, a więc jakie są twoje prawdziwe plany wobec Chesterów, Guy?

- Na litość boską, Virginio... - Charles nie dokończył, przerwał mu bowiem Guy.

- Mam wiele planów wobec Sarah Chester Fabrics, ale nie jest to czas i miejsce, żeby o nich rozmawiać.

Rozmyślnie odpowiada wymijająco, pomyślała Virginia ze złością. A to może oznaczać tylko jedno...

- Nie możesz dłużej nas zwodzić... - zaczęła z zapalem.

- Ginny, cieszę się, że uczyniłem Guya jednym z dyrektorów naszej firmy... - Ojciec przejechał palcami po włosach. - Pamiętaj, kochanie, że jesteś projektantką, a nie specjalistką od zarządzania i finansów. Sama nie wiesz, o czym mówisz.

- Przyszłość firmy Chesterów jest trudna do przewidzenia. - Guy mówił zimno, nie pozwalając sobie przerywać. - To, co niemożliwe, można osiągnąć z dnia na dzień. Na cud trzeba będzie poczekać nieco dłużej. Ale obecny stan

firmy mogą podsumować krótko: jeśli bank nie dostrzeże, że coś się zmienia na lepsze, firma twoich dziadków skończy na śmietniku, Virginio.

- Przecież to pożar doprowadził do kryzysu...

- Pożar pozwolił jedynie wyraźniej dostrzec problemy istniejące od dawna. Tak się składa, że maszyna nie zapaliła się sama. Błąd popełnił obsługujący ją człowiek, nadmiernie zwiększając dopływ gazu. A to znaczy, że firma zbyt łatwo decyduje się na zakup drogich urządzeń, trwając jednocześnie przy starych przyzwyczajeniach, zamiast rozwijać nowe linie produkcyjne i inwestować w podnoszenie kwalifikacji pracowników. Poza tym sami prowadziliście całą dystrybucję i nawet handel detaliczny. Otworzyliście dziesiątki nowych sklepów, a mimo to tracicie rynek zbytu. Asortyment waszych wyrobów przestał być atrakcyjny już dość dawno temu, a wy tego nie zauważyliście. Potrzebujecie radykalnych zmian, żeby przetrwać, a moja obecność jest gwarancją potrzebną bankowi, aby zainwestować.

Guy zakończył swoje beznamienne podsumowanie. Virginia, błada, wpatrywała się w migocące płomyki świec osadzonych w srebrnym kandelabrze. Nie wiedziała, co powiedzieć. Musiała przyznać sprawiedliwie, że sama prosiła o zwięzłe podsumowanie, Guy zaś zrobił to po mistrzowsku.

Po co w ogóle otwierała usta? Co chciała w ten sposób osiągnąć? Człowiek taki, jak Guy Stern, nie przyznaje się tak łatwo do porażki. Poza tym to, co powiedział, wydawało się pozornie słuszne. Bez poważnych dowodów nie miała szans udowodnienia mu, że jest dwulicowy.

Najgorsze było to, że poczuła się znowu jak mała dziewczynka.

- Dziękuję ci, Guy - zakończył spokojnie jej ojciec. - Może zjedlibyśmy deser? Ciekawe, co nam przygotowałaś, Virginio. Pozwól mi zgadnąć. Sernik z rodzynkami?

- Zgadłeś. - Uśmiechnęła się do niego, walcząc z niechęcią. - Spróbujesz?

- Oczywiście. I tobie też radzę, Guy - dodał spoglądając na swego gościa.

- A jak tam twoje poszukiwania pracy, kochanie?

- W porządku. - Wzięła głęboki oddech i postanowiła przyjąć wyciągniętą na zgodę rękę. - Złożyłam podanie we wszystkich najbardziej cenionych firmach zajmujących się projektowaniem, jakie mi tylko przyszły do głowy. Chodzi o to, że jeśli będę chciała zacząć pracować na własną rękę, będę potrzebowała doświadczenia nabytego wśród najlepszych... Tak więc nie zmartwię się, jeśli zaproponują mi pracę w bibliotece. Kiedy już tam będę, znajdę okazję, żeby się czegoś nauczyć...

- Czy dostałaś już jakąś odpowiedź?

- Nie, ale wybieram się jutro do Olimpii. Wszyscy, którzy coś znaczą, tam będą...

- Na wystawę ubiorów i tkanin? - ziewnęła Lucy. Oczy jej się zamykały. Od początku ciąży potrafiła zasypiać zawsze i wszędzie.

- Tak. Idę uzbrojona w moje najlepsze projekty, na wypadek, gdyby okazało się, że to ma być mój wielki dzień.

- Jeżeli będziesz jutro w Londynie - wtrącił Guy - to mam dwa bilety na Amerykański Teatr Baletu. - Wziął kawałek sernika, nie zwracając uwagi na pozostałe desery: świeże truskawki i krem czekoladowy. Patrzył spod oka na jedzącą truskawki Virginie. - Czy pójdiesz ze mną jutro wieczorem?

- Virginia uwielbia balet - pośpieszyła jej z pomocą Lucy, nie bacząc na niechętnie spojrzenie, które otrzymała w zamian.

- Dziękuję bardzo, ale jutro wieczorem będę zajęta... - powiedziała chłodno. Próbowwała odłożyć łyżeczkę, lecz zrobiła to tak niezgrabnie, że pomieszany z cukrem sok truskawkowy prysnął prosto na jej kolana.

- Czy zostaniesz w Londynie na noc? - chciała wiedzieć Lucy.

- Pewnie tak. - Virginia starała się unikać spojrzenia Guya. - Będą tam moi koledzy ze szkoły. Pamiętasz Teresę i Kita? Chcą wystawić niektóre swoje prace z kolekcji dyplomowej na chodniku koło Olimpii. Mają nadzieję, że może je kupi jakiś wielki dom mody.

- Wysoko mierzą - zagwizdał Charles.

Virginia wstała. Musiała coś zrobić z zaplamioną truskawkami sukienką. Była to dobra wymówka, aby opuścić towarzystwo.

- Wszyscy mierzymy wysoko - powiedziała. - Co w tym złego?

- Rzeczywiście, co w tym złego - zamruczał Guy, lecz nie zwracała na niego uwagi, ledwie racząc odpowiedzieć na jego badawcze spojrzenie.

- Wybaczcie mi, ale muszę wyczyścić tę plamę. A potem chciałabym pójść wcześniej spać.

Pocałowała lekko ojca i ruszyła przez półmrok korytarza w kierunku schodów. Miała poczucie winy, że wychodzi w ten sposób. Zwykle pomagała jeszcze pani Chalk uporać się ze zmywaniem.

- Virginio, poczekaj! - Była już przy drzwiach do sypialni, kiedy dobiegł ją głos Guya. - Pomału! - Stara dębowa podłoga zaskrzypiała, kiedy wreszcie znalazł się na górze i zrównał z Virginią. - Po co ten pośpiech?

- Muszę się przebrać... - zaczęła i przyłapała jego ironiczne spojrzenie. Zaczerwieniła się ze złości. Przez otwarte drzwi jej sypialni widać było łóżko przykryte miękką narzutą w zielone i różowe prążki. Każdą komórką swego ciała czuła fizyczną bliskość Guya.

- Nie denerwuj się - poradził jej spokojnie. - Pamiętam lekcję, którą dałaś mi na Santa Lucii i nie mam zamiaru proponować ci pomocy przy rozbieraniu.

- Kiedy to mówił, jego kpiące spojrzenie powędrowało ku zaokrągleniom jej opalonych piersi, ukrytych w rozpiętej pod szyją sukience.

Mimo woli zadrżała, lecz zaraz spiorunowała go wzrokiem. Oczywiście, że nie zaofiaruje mi pomocy, pomyślała. Trzeba przyznać, że skompromitowała się tamtej nocy... Niech diabli wezmą Guya Sterna! Najpierw rzuciła się na niego, potem wpadła w panikę, a on odrzucił ją, jakby była gorącym kartoflem. Jaka była wtedy głupia... On chciał jedynie seksu. Ale czego chciała ona sama?

- Dlaczego tu za mną przyszedłeś? - zapytała bezwiednie zasłaniając dekolt.

- Te wzory, które zaprojektowałaś na Santa Lucie - powiedział w końcu. - Wołałbym, abyś nie pokazywała ich jutro w Olimpii wszystkim konkurentom Chesterów.

- Co? - W pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała. Wpatrywała się w niego z niemym zdziwieniem. - Co masz, do diabła, na myśli? - spytała wściekła. - Może nazywam się Chester, ale nie pracuję u Chesterów i nie masz prawa wydawać mi polecenia. To moje projekty i zrobię z nimi, co zechcę...

- Jestem nimi zainteresowany. Z mojego rozeznania rynku wynika, że po lecie takim jak to, subtelne wzory oparte na tropikalnych motywach mogą okazać się przebojem, a tego właśnie potrzebujemy. W związku z tym, chciałbym z tobą omówić kilka spraw...

W głowie kłębiły jej się różne myśli. To była ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się po Guyu Sternie...

- To jakiś żart, prawda?

- To nie żart, zaufaj mi, Virginio. - Nie sposób było rozszyfrować, co kryło się w jego twarzy i głosie. On musi mieć jakieś ukryte zamiary, podpowiadał jej zdrowy rozsądek, ale jakie? Dlaczego miałby ją przekonywać, że jej projekty mogą pomóc w ocaleniu firmy?

- Powinnam być zaskoczona? Sądzisz, że mi to pochwlebia? - powiedziała w końcu nieswoim głosem. - Pamiętaj, że projektowanie to nie twoja dziedzina.

- To nie znaczy, że nie potrafię rozpoznać dobrego projektu.

- Co chcesz właściwie przez to powiedzieć? - napadła na niego Virginia. - To smutne, kiedy ludzie odnoszą sukcesy tylko dzięki rodzinnym powiązaniom. Nie po to studiowałam, aby uwić sobie ciepłe gniazdko w rodzinnej firmie. Chcę osiągnąć pozycję dzięki własnej pracy, a nie dzięki temu, że jestem córką prezesa!

- Ja jestem jedynie dyrektorem do spraw zarządzania - przypomniał jej - a ty nie jesteś moją córką. Chcę cię mieć w naszym zespole projektantów. I nie

myśl nawet o wygodnym gniazdku! Nie w firmie, która w każdej chwili może zniknąć z powierzchni ziemi.

- Przepraszam... Nie mogę wprost uwierzyć, że moje małe prace z Santa Lucii mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie wśród setek wzorów, jakimi dysponuje S.C.F...

- W takim razie, co miała znaczyć twoja uwaga o „mierzeniu wysoko”?

- To coś innego! Naprawdę tego nie rozumiesz?

- Dlaczego coś innego? - obruszył się Guy. - Masz talent, Virginio. Masz dosyć pewności siebie, żeby myśleć o założeniu własnej firmy. Dlaczego więc teraz nie doceniasz swoich prac?

Zapadła cisza.

- Uprzedzam cię, że mogą nastąpić pewne niekorzystne zmiany. Firma będzie miała jeszcze większe kłopoty z popytem - ciągnął dalej Guy - i chciałbym się do nich przygotować. Odświeżyć wzory i wprowadzić je pod hasłem „wszystko dla matki i dziecka”. Tkaniny, ubrania, elementy wystroju wnętrz, cała kolekcja tylko dla matki i dziecka. Myślę, że to dobry pomysł.

- Mnie się wydaje antyfeministyczny - powiedziała zimno. - A co z ojcem?

- Jestem otwarty na wszelkie propozycje - powiedział Guy z lekkim rozbawieniem. - A więc, co powiesz na to, Virginio? Czy dla zaspokojenia własnych ambicji masz zamiar zrezygnować z możliwości przysłużenia się firmie Chesterów? Pomyśl o tym, i daj mi znać, kiedy podejmiesz decyzję. - Odwrócił się i odszedł pozostawiając zakłopotaną Virginie przed drzwiami jej sypialni.

Podczas bezsennej nocy i rano, w pociągu, Virginia miała bardzo dużo czasu na przemyślenia. Przez całą drogę do Londynu zastanawiała się nad wprawiającymi ją w zakłopotanie propozycjami Guya, swoimi mieszanymi uczuciami wobec niego i prawdziwymi motywami, którymi kierował się, proponując jej współpracę.

Powiedział, że to nie żart, prosił, aby mu zaufała, jednak instynkt podpowiadał jej, że byłaby to naiwność z jej strony.

A jeżeli Guy naprawdę stara się im pomóc? Jeśli naprawdę myśli, że jej projekty mogą stać się podstawą nowej kolekcji firmy? Czy ma prawo gonić za własnym szczęściem, kiedy Chesterowie jej potrzebują?

Była wściekła na Guya, że postawił ją w takiej sytuacji. Czy była wobec niego niesprawiedliwa? A może zrobił to specjalnie? Czy nie jest to subtelny szantaż? A jeśli w ten sposób chce ją kontrolować, podobnie jak Sarah Chester Fabrics? - rozmyślała, przechadzając się wśród zwiedzających wystawę tłumów, sama zbyt zajęta, aby cokolwiek zobaczyć.

Nagle wynurzyła się przed nią dobrze znana jasnowłosa postać. O mały włos nie zderzyli się ze sobą.

- Ginny, najdroższa! Jakie to szczęście, że wpadłem tu na ciebie! Dosłownie wpadłem! - Śmiał się, lecz w jego śmiechu nie było prawdziwej radości.

Nie uśmiechając się popatrzyła na niego i zrobiło jej się niedobrze.

- Dzień dobry, Mortimerze.

- Co u ciebie, Ginny?

- Wszystko w porządku. Przepraszam, śpieszę się...

- Chciała go wyminąć, ale chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Moje gratulacje! Wiem, że dostałaś dyplom z pierwszą lokatą. Zawsze byłaś gwiazdą wśród moich studentów! Nie uciekaj, tak bardzo chciałem cię znów zobaczyć, kochanie...

- Nie jestem twoją ukochaną i nigdy nie byłam - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Zejdź mi z drogi!

- Bądź rozsądna, chodź, napijemy się czegoś. Nie możemy tu przecież rozmawiać. - Pot wystąpił mu na czoło, mokre kręgi pojawiły się też pod pachami jego koszuli.

Virginie ogarnęła panika. Czuła do niego fizyczny wstręt.

- Nigdzie nie będziemy rozmawiać. Odejdź i zostaw mnie w spokoju!

Mortimer pożerał ją wzrokiem. Ze strachu mówiła zbyt podniesionym głosem i kilka osób spoglądało ze zdziwieniem w ich kierunku.

- Nie zachowuj się jak histeryczka. - Mówił teraz łagodnie, rozsądnym tonem wykładowcy, którego używał, ilekroć chciał podkreślić swój autorytet. - Z twojego powodu rozstałem się z Margaret. Jesteś mi chyba coś winna.

- Idź do diabła - powiedziała z rosnącym niesmakiem. - Jesteś chory i powinieneś się leczyć.

Przez chwilę mocowali się w milczeniu. Trwało to, dopóki głos dobiegający zza jej pleców nie sprawił, że Mortimer puścił jej nadgarstki.

- Co tu się dzieje?

- Guy! - Uwolniona z uścisku Mortimera Virginia schwyciła Guya za ramię, drżąc na całym ciele i próbując się uspokoić. Fala wdzięczności wywołana niespodziewanym pojawieniem się Guya była równie niezrozumiała i wszechogarniająca, jak niechęć, którą żywiła do niego poprzednio.

- Kto to jest, do diabła? - Mortimer patrzył na Guya wojowniczo, lecz wyzwanie w jego głosie nie brzmiało przekonywająco. Damski bokser, stać go na odwagę tylko wobec słabszej płci, pomyślała Virginia z goryczą. Guy przewyższał Mortimera prawie o głowę, a jego elegancki garnitur i jedwabna koszula nie mogły ukryć jego atletycznej budowy.

- Jestem przyjacielem Virginii - powiedział Guy spokojnie. Patrzył twardo, a w jego głosie brzmiała groźba. - A najwyraźniej ty nim nie jesteś! I jeśli nie potrafisz, do jasnej cholery, przekonywająco wyjaśnić, dlaczego obrażasz Virginie w biały dzień, na wystawie, mam dla ciebie jedną radę: wynoś się, do diabła, i to zaraz!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wystarczyło mu tylko jedno spojrzenie na jej szarą jak popiół twarz, aby zdecydować o zabraniu jej z kłębiącej się ciżby ludzi do swego samochodu.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

Virginia siedziała w stalowoszarym aston martinie Guya, przedzierającym się przez uliczne korki. Zatrzymali się na światłach.

- Kim był ten mężczyzna? - nalegał delikatnie.

- To jeden z moich wykładowców.

- I nadal uczy?

Żałośnie pokręciła głową, tłumiąc w sobie pokusę, aby rozplakać się jak małe dziecko.

- To dobrze, w przeciwnym razie zrobiłbym wszystko, aby przestał uczyć.

- Guy, proszę... - Bezwiednie chciała dotknąć jego ramienia, zawahała się jednak. - Nie wtrącaj się... To skończone, minęło. Nie mam zamiaru nic z tym robić.

Zacisnął usta i milczał przez całą drogę do swego mieszkania. Tam w końcu Virginia znalazła schronienie w szarym, chromowanym fotelu. Sączyła whisky i rozglądała się wkoło. Mieszkanie było urządzone w stylu „minimalistycznym”. Przez wielkie okna widać było w dole ołowiane wody Tamizy i gołębioszare niebo. Ten monochromatyzm jest zdecydowanie denerwujący, orzekła. Wróciła jej dawna zaczepność.

- Nie jestem pewna... ale wydaje mi się, że to mieszkanie jest okropne!

- Prawda? - zgodził się. - Musiałem być absolutnie załamany, kiedy je urządzałem. Na pewno wymaga przemeblowania.

- Sam dobierałeś kolory?

- Przyznaję się do winy.

- A w swojej willi? To też ty? - zapytała kompletnie zdezorientowana. Przytaknął odstawiając swoją szklankę na czarny marmurowy blat stołu. Wyjął także szklankę z jej dłoni.

- Tam też. - Poczwała jego bliskość. - Mam ten nieprzyjemny zwyczaj, że dekorując wnętrze używam takich kolorów, jakie znajdują się na zewnątrz. Nie zaprosiłem cię tu jednak, aby dyskutować o mojej schizofrenii w kwestii urządzania mieszkań. Opowiedz mi o tym mężczyźnie, którego spotkaliśmy na wystawie...

- Guy... - Zmieszana nagle, przerwała. Nie wiadomo czemu pragnęła mu zaufać, lecz w głębi serca drżała na myśl o tym, jakie to może mieć konsekwencje. - Och, Guy...

- Powiedz mi. Muszę to wiedzieć. - Wpatrywał się w nią swoimi szarozielonymi oczami, jakby chciał zrozumieć jej niepewność. Wstał i przysunął swoje krzesło bliżej. - Jeżeli to z jego powodu obawiasz się fizycznego zbliżenia, to chciałbym to wiedzieć - powiedział.

- A po co? - zapytała wyzywająco.

- Dlatego, że z pewnych nieciekawych dla ciebie powodów odkryłem, że zależy mi na tobie.

Zarumieniła się, a potem nagle zbladła mimo opalenizny.

- O co ci chodzi? - wyszeptała nie mogąc oderwać oczu od jego ciemnej twarzy. - Pewno bardzo chciałbyś skończyć to, co zacząłeś na Santa Lucii i dlatego dobrze by było, abym pozbyła się tych niewygodnych zahamowań.

- Nie - odparł stanowczo. - Chodzi o to, że będąc z tobą tracę zdolność rozsądnego myślenia. Widząc cię czuję ściskanie w dołku, tak jakby mnie ktoś uderzył. Kiedy ciebie nie ma, myślę o tobie przez cały czas, do diabła!

Zacisnęła dłonie w pięści, a potem je rozwarła. Czuła w gardle taką suchość, że bała się, iż nie wydobędzie z niego głosu.

- Czy to miało zabrzmieć romantycznie?

- Nie, to miało zabrzmieć uczciwie. - Nagłym szarpnięciem rozluźnił krawat i przeczesał ręką włosy.

- Czy zaproszenie na balet jest nadal aktualne?

- Do diabła z baletem! Na miłość boską, Virginio, porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co się stało.

Zesztywniała i poczuła, jak serce wali jej w piersi.

- Ten mężczyzna na wystawie to był Mortimer Harrison. Kiedyś próbował mnie zgwałcić...

Przerwała. Dopiero, kiedy wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak boleśnie i plugawie brzmią. Czowała, jakby odkryła czarną dziurę, pełną dawno pogrzebanych uczuć. Śmiertelnie bała się sięgnąć głębiej, niepewna, czy sprosta temu, czego może się dokopać...

Oczy Guya ściemniały.

- Mów dalej - nalegał, niebezpiecznie ścisząc głos.

- On był... Mój Boże, sama nie wiem... ślepo we mnie zakochany?

Wszystko zaczęło się od przyjaźni. Był moim nauczycielem, szanowałam go i tak dalej. Był zapalonym turystą. Razem z innymi, w każdą sobotę i niedzielę, wybieraliśmy się na wędrówki...

Znowu zaschło jej w gardle, sięgnęła więc po szklankę z whisky. Spostrzegła wówczas, że drży i kilka kropli kapnęło jej na ubranie. Guy wstał nagle, wyjął szklankę z drżących palców Virginii, a potem wziął ją delikatnie w ramiona.

Ciepło jego ciała było tak kojące jak jesienne słońce. Z westchnieniem ulgi wtuliła twarz w miękki materiał jego marynarki. Łzy nieprzerwanym strumieniem popłynęły jej z oczu.

- Już dobrze, wszystko dobrze... - wyszeptał prosto w jej włosy.

- Przepraszam, zniszczyłam ci koszulę...

- Do diabła z koszulą!

- Jestem okropna - wyszeptala po dlugiej chwili, podczas ktorej milczeli siedzac bez ruchu.

- Wszystko w porzadku. Po prostu opowiedz mi o tym...

- On tak sie zachowywal, jakby to byla w pewnym sensie moja wina... - Przerwala znowu, walczac z ogarniajacymi ja uczuciami. - Czasami myśle, ze to naprawde byla moja wina. Po smierci mamy czulam sie taka zagubiona, jakbym szukala kogos, kto moglby wypelnic te pustke, ktora po niej zostala. Wiem, ze to brzmi glupio, ale tak bylo. Wydawalo mi sie, ze Mortimer bardzo mi pomaga, po przyjacielsku interesuje sie mna, wierzy w moje zdolnosci artystyczne...

I wtedy wszystko zmienilo sie jak w sennym koszmarze. Przysiegam, uwazalam go zawsze za mego nauczyciela, kumpla od wspolnych wedorowek i przyjaciela. Ale kiedyś przyszedl do mnie. Moich przyjaciol akurat nie bylo. Kompletnie oszalał. Gdyby Kit i Teresa nie wrócili...

Konwulsyjnie zadrzala i ramiona Guya natychmiast mocniej ja objely. Gladzil ja po wlosach.

- Jeśli nie chcesz, zebym udusil tego faceta, nie dawaj mi jego adresu - syknal.

- Nie wiem nawet, gdzie mieszka. Mial zone, ale dzisiaj powiedzial mi, ze odszedl od niej. Z mojego powodu! Jestem chora na sama mysl o tym...

- Zycie z nim nie bylo zapewne specjalna przyjemnoscia, wiec jego zona niekoniecznie musi miec zlamane serce - zauwazyl sucho i ruszyl na poszukiwanie chusteczek do nosa. - Czy powiadomilas policje?

- Nie - powiedziala wycierajac nos. - Prawde mowiac... - zawahala sie, ale wzrok Guya dodal jej odwagi - jestes pierwsza osoba, ktorej to mowie.

Zapadla cisza. Kiedy odwazyla sie podniec wzrok, zobaczyla, ze oczy Guya blyszczą.

- Tak wiec twoi przyjaciele wrócili do domu, zanim on zdazyl faktycznie cie zgwalcic?

- Tak.

- Ale zorientowali się, co się stało?

- Myślę - Virginia wzięła głęboki oddech, a Guy ujął jej rękę w swoje dłonie - że podejrzewali mnie o romans z Mortimerem - zakończyła z goryczą. - Byłam zbyt przestraszona, aby z kimkolwiek o tym rozmawiać. Bałam się, że Mortimer mógłby przeszkodzić mi w otrzymaniu dyplomu. Poza tym następnego dnia dostałam gorączki i przez kilka tygodni byłam naprawdę ciężko chora. Pół semestru spędziłam w domu. Kiedy wróciłam do szkoły, Mortimera już tam nie było...

- Wylali go?

- Tak przypuszczam... Nie wiem. Zdaje się, że niektórzy nauczyciele zauważyli jego obsesję na moim punkcie. I to jest najgorsze w tym wszystkim. Tak czy inaczej, nadal zajmuje się wzornictwem, w przeciwnym razie nie przyszedłby chyba na wystawę?

Widać było, że się znowu boi i Guy bezceremonialnie przygarnął ją do siebie.

- Zapomnij o nim. Słyszysz mnie, Virginio? Wyrzuć z pamięci tego drania.

Miarowe delikatne ruchy jego dłoni gładzących ją po plecach sprawiły, że uspokajała się powoli, choć nadal cała drżała.

- Czasami obawiam się, że nigdy nie uda mi się o tym zapomnieć. To wraca i znowu czuję się winna. Brudna, ponizona, rozgoryczona... Niełatwo jest zapomnieć.

Guy uniósł jej brodę, tak by spojrzała na niego. Jego usta delikatnie złączyły się z jej rozchylonymi wargami.

- Chciałbym ci to ułatwić. - Poczowała jego oddech na swojej twarzy, gdy przestali się całować, aby zaczerpnąć powietrza. Żar ogarnął jej zmysły, a niepożądane pragnienia przyprawiały o zawrót głowy. Przywarła do niego, drżąc z emocji. Jednak Guy położył kres tej huśtawce uczuć. Z głębokim westchnieniem

odsunął ją od siebie i zmierzył wzrokiem od stóp do głów. Patrzył na nią jak człowiek umierający z głodu, który jednak odmawia sobie jedzenia.

- Jezu... - Gwizdnął cicho. - Co ja wyrabiam?

- Może wsadziłbyś mnie do najbliższego pociągu? - zasugerowała niepewnie. Serce jej biło jak szalone. Jak to się dzieje, że ten właśnie mężczyzna budzi w niej takie uczucia? Jaka magia sprawia, że choć izolowała się od większości ludzi, ta jedna osoba roznieciła w niej wewnętrzny żar?

- Chciałbym być tak szlachetny!

Nadal nie zbliżał się do niej zanadto, lecz drżenie ust zdradziło siłę jego uczuć. Jakaś odległa myśl nakazywała Virginii ostrożność, nagle jednak zalała ją wszechogarniająca fala przerażających i podniecających doznań. Mimo to, wątpliwości pozostały. Nie mogło rozwiązać ich to, że przypadkiem z uścisku Mortimera trafiła prosto w ramiona Guya, że jego fizyczna magia spowodowała taki wybuch.

Dawna dwulicowość wobec Tary wymagała jednak przemyślenia. A co z jego nieuczciwością wobec Sarah Chester? Wobec Nicoli? I do tego jego reputacja... Uchodził za egoistę lekceważącego wszelkie zasady. Czy to właśnie jemu ma zawierzyć i obdarzyć go uczuciem?

- Tak się składa, że mam na dziś wieczór dwa bilety na Amerykański Teatr Baletu - powiedział Guy opanowanym głosem. - Czy masz ochotę pójść? - Odrobina humoru rozproszyła narastające napięcie.

- Boję się, że przedstawienie może się późno skończyć - powiedziała niepewnie. - Nie wiem, kiedy mam ostatni pociąg...

- Mogłabyś spędzić tę noc u mnie.

- Guy... - Zarumieniła się i zaraz zbladła czując, jak zapiera jej dech w piersi. - Guy, nie jestem pewna, czy...

- Byłaś bezpieczna na Santa Lucii - przypomniał jej delikatnie - nic ci nie będzie również groziło w moim gościnnym pokoju,

Dostrzegł błysk wątpliwości w jej oczach i roześmiał się.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że cię nie pragnę. Nie jestem, co prawda, święty, ale nie jestem też zbrodźcą, Virginio. Lubię, aby moje kobiety pragnęły mnie i chciały być ze mną.

Zamrugnęła gwałtownie powiekami. Powiedział: moje kobiety, W liczbie mnogiej. Zabolęło ją to bardzo, lecz jednocześnie podziałało jak zimny prysznic. Tłumiąc łzy, wolno skinęła głową.

- Chętnie obejrzę ten balet. I przyjmuję twoje zaproszenie. Mam nadzieję, że spędzimy ten wieczór jak para przyjaciół.

- Przyjaciół? - wycodził kpiąco, a z jego szarych oczu nie można było nic wyczytać. - Jak to się stało, że nie uprzedziłaś mnie o tak radykalnej zmianie w naszych stosunkach?

- Cóż... Nie jesteśmy już dla siebie obcymi ludźmi, nieprawdaż? - oświadczyła chowając ręce do kieszeni i patrząc na niego z niepokojem. Atmosfera oziębiła się gwałtownie. Pogratulowała sobie opanowania. Odczuła taką ulgę, aż zrobiło jej się słabo. - Teraz, kiedy wyznałam ci moją ponurą przeszłość, jesteśmy chyba czymś więcej niż znajomymi?

- Może współnikami w interesach? - Uniósł pytająco brwi. Odsunął się od niej na bezpieczną odległość. - Czy zdecydowałaś już coś w sprawie swoich projektów?

- Tak. - W tej właśnie chwili, dodała w myśli i obdarzyła go najcieplejszym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Zgadzam się. Jeśli naprawdę myślisz, że będzie to korzystne dla Chesterów... Byłabym głupia, gdybym odmówiła!

- Z całą pewnością! - powiedział z nie ukrywaną satysfakcją. - Nie powinnaś odrzucać takiej propozycji!

Amerykański zespół baletowy okazał się oryginalny i tańczył z niepowtarzalną świeżością, jednak Virginia nie mogła skupić się na niczym tego wieczora. Kiedy wspominała go później, myślała, że z równym powodzeniem

mogłaby oglądać film bez obrazów, na dodatek z dialogami w niezrozumiałym języku.

Nie potrafiła przeżywać scenicznych występów, gdyż czuła się jak w siódmym niebie, szczęśliwa, że znowu jest razem z Guyem. Co za brak logiki, pouczała samą siebie, ale logika nie zawsze w końcu jest najważniejsza.

Później spacerowali mokrymi ulicami Londynu, znaleźli małą włoską restaurację, jedli pizzę i pili frascati udając, że są na wytwornym przyjęciu w Buckingham Palace. Dyskutowali z werwą swobodnie zmieniając tematy od polityki do ogrodnictwa, od sił nadprzyrodzonych do eksplozji demograficznej. I wtedy Virginia zaczęła podejrzewać, że w końcu i ją dotknęła powszechna choroba wieku młodzieńczego - ślepe zadurzenie.

Poczuła nagły chłód, gdy wysiedli z samochodu i jechali windą do mieszkania Guya. Czy jest to ten rodzaj ślepej fascynacji inną osobą, jaki przeżywał Mortimer Harrison w stosunku do niej? Porównanie to nappełniło ją niesmakiem i przyćmiło na chwilę urok tego wieczoru.

- Wszystko w porządku? - zapytał Guy, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

- Czy chcesz zadzwonić do domu i powiedzieć, gdzie jesteś?

- Nie, uprzedzałam, że mogę przenocować u przyjaciół.

Patrzyli na siebie i Virginia poczuła się okropnie zażenowana.

- Zdejmij płaszcz, Virginio. Naprawdę nie musisz się mnie obawiać...

Pozwoliła, aby pomógł jej rozebrać się i odwiesiła płaszcz do szafy.

- Czy masz w czym spać? - Głos Guya brzmiał głębiej niż zwykle.

Mierzył wzrokiem jej miękką, kwiecistą spódnicę, białą bluzkę i zamszową kamizelkę. Jego oczy błyszczały pożądaniem.

- Tak, wzięłam ze sobą rzeczy na noc...

- Chcesz napić się czegoś ciepłego? - ciągnął z grymasem na ustach. -

Może kakao?

- Niedługo spytasz mnie jeszcze, czy nie zapomniałam swojej szlafmicy - zakpiła niezgrabnie.

- Idź już do łóżka - poradził jej ponuro, odwracając się od niej. - Obok sypialni znajdziesz oddzielną łazienkę...

- Dobrze... W takim razie, dobranoc...

- Dobranoc, Virginio.

Zawahała się, ale Guy nie odwrócił się. Wycofała się więc do sypialni i powoli zamknęła drzwi, tłumiąc w sobie uczucie okropnego rozczarowania. To był niewątpliwie wspaniały wieczór, ale jakiś ukryty instynkt podpowiadał jej, że zakończył się on inaczej niż powinien...

Czego więc chciała naprawdę? Niepokój wywołany emocjonalną huśtawką odebrał jej wszelką ochotę do spania. Drżała z napięcia. Po szybkim prysznicu i energicznym wyszorowaniu zębów, chwyciła szczotkę do włosów i z równym zapalem zabrała się do szczotkowania swych niesfornych loków.

Wciągając przez głowę śliwkową nocną koszulę, ujrzała przez chwilę swoje odbicie w dużym ściennym lustrze. Co też teraz może robić Guy, pomyślała i nagle poczuła, że uczucia, które poznała na Santa Lucii, kiedy już prawie kochali się ze sobą, powracają z tak obezwładniającą mocą, że z trudem może utrzymać się na nogach. Nie mogąc się w tym wszystkim połapać, wślizgnęła się do łóżka, pod ogromną szmaragdową jedwabną kołdrę. Przypatrzyła się grze światła na suficie, ale sen nie nadchodził. Chciała uporządkować kłębiące się w głowie myśli.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy - pragnęła Guya! Poczowała ucisk w gardle i łaskotanie w żołądku. Pragnęła go i zarazem bała się tego uczucia. Bała się nie tylko z powodu tego, co wydarzyło się z Mortimerem... To, co w głębi serca czuła do Guya, świadczyło o tym, że zahamowania, których winien był Mortimer, nie były czymś przejściowym.

Nie! Guy Stern, nie jest właściwym mężczyzną. Im prędzej z tym skończy, tym lepiej.

Powoli mijały minuty. Od czasu swojej choroby, gdy nie śpiąc przewracała się z boku na bok, a gorączka ciągle jej rosła, nie przeżyła tak

upiornej nocy. O trzeciej nad ranem straciła wszelką nadzieję. To ten dziwny dzień i to dziwne łóżko sprawiają, że nie mogę spać, zawyrokowałam.

Wstała i zaczęła się zastanawiać, co ma ze sobą począć. Miała ochotę poczytać, w małym gościnnym pokoju nie było jednak biblioteczki. Przypomniały jej się dwie ściany pełne półek z książkami, w salonie z widokiem na Tamizę.

Spojrzała na swoją potarganą głowę w lustrze i zawahała się. Zabrała dziś ze sobą do Londynu niewiele rzeczy i nie miała podomki. Cienka bawełniana koszula uwydatniała miękki zarys piersi i ściśle opinała biodra, nie skrywała również jej opalonych ud. Nie wiedziała, co ma zrobić. Chyba zwariowałam, pomyślała. Jest trzecia nad ranem i Guy pewno chrapie w swojej sypialni,

Myśl, że Guy może chrapać, wydała jej się zabawna i rozbawiła ją. Tłumiąc śmiech cicho otworzyła drzwi. W holu było ciemno. Weszła do salonu zalanego księżycowym światłem. Wśród dziwnych cieni, meble srebrzyły się niesamowitym blaskiem. Posuwając się w kierunku półek zastanawiała się, czy będzie mogła przeczytać tytuły książek nie zapalając światła. Wtedy usłyszała trzask wyłącznika lampy w drugim końcu pokoju. Podskoczyła gwałtownie i odwróciła się. Guy siedział w fotelu przy oknie, obok niego, na czarnym marmurowym blacie stołu, stała do połowy opróżniona butelka whisky.

Gdy siedział tak nie ogolony, w ciemnooliwkowym szlafroku, z rozczochranymi włosami i cieniami pod oczami, onieśmielał ją bardziej niż zazwyczaj. Serce jej zamarło, a potem zaczęło bić jak szalone.

- Ja też nie mogłem zasnąć - powiedział. - Napijesz się whisky? - Jego głos nie był ani uprzejmy, ani zapraszający.

- Szukałam czegoś do czytania...

- Na miłość boską, Virginio, weź książkę i wynoś się stąd! - powiedział ze źle skrywaną irytacją. Wstał i zachwiał się, zdradzając, jak wiele dzisiaj wypił.

- Mówiłem ci, że możesz mieć do mnie zaufanie, ale jeżeli zostaniesz tu jeszcze przez chwilę w tej cienkiej koszuli... - Przerwał gwałtownie, masując sobie kark.

- Przepraszam, ale dzisiejszej nocy zrozumiałem, że moja zdolność panowania nad sobą ma pewne granice...

- Guy... Boję się... - wyszeptała bezwiednie. Nie wiedziała, skąd wzięło się to jej wyznanie. Jego oczy zwęziły się, a szerokie usta wykrzywiły przeproszająco.

- Nie masz się czego bać - powiedział kwaśno. - Czego się obawiasz?

Zapadło milczenie. Siebie, chciała odpowiedzieć. Boję się samej siebie... Każdą cząstką swego ciała czuła obecność Guya. Weź się w garść, mówiła sobie wściekła. Ale stała tam jak przymurowana, z żołądkiem podjeżdżającym do gardła i trzęsącymi się kolanami.

- Ciągłe myślisz o tych bzdurach, o tym, co się wydarzyło na wystawie? - wycedził i twarz mu ściemniała.

- Nie.

Jego oczy zwęziły się i skoczył w jej kierunku jak lampart. Poczowała ściskanie w gardle.

- Virginio, jeśli naprawdę chcesz, abyśmy zostali tylko przyjaciółmi, idź stąd - wykrztusił, łapiąc ją za ramiona. - Jest wczesny ranek i moja odporność spada...

- Już idę - wyszeptała niepewnie i zaczęła wycofywać się. Nie mogła jednak oderwać od niego oczu.

- Jeśli mam być szczerzy, moja odporność już przestała istnieć... - Z jękiem przyciągnął ją do siebie. Jego dłonie powędrowały w dół, wzdłuż jej szczupłych pleców, zmuszając ich ciała do zbliżenia. Myśl o ucieczce przemknęła jej przez głowę, lecz zamiast tego bezwiednie oplotła go ramionami, pieszcząc jego twarde jak skała barki. Rozsądek i przezorność gdzieś zniknęły. Pragnęła przytulić się do jego nagiego ciała, chciała mu się oddać... Niech diabli wezmą logikę, rozsądek i przezorność!

Płonącym wzrokiem wpatrywał się w jej szeroko otwarte oczy.

- Guy, tak nie można... - Wiedziała, że jej ostatnia próba oporu nie wygląda przekonywająco.

- Można... Coś, co jest tak przyjemne, musi być dobre - powiedział miękko, unosząc ją w ramionach i torując sobie drogę do sypialni.

Muskularne ciało Guya w łóżku obok niej sprawiało, że odczuwała szaloną radość. W ciemności wydawało się obce i zarazem dziwnie znajome. Silne palce zdzierały z niej koszulę, głodne wargi badały jej brzuch, piersi, usta... Zdawało jej się, że zawsze tego pragnęła.

Virginia zamknęła oczy i zanurzając się w wirującej ciemności, zatraciła się całkowicie w rozkoszy pieszczot Guya. Nie przeżyła dotąd nic, co mogłoby ją przygotować na ten niemożliwy do ugaszenia ogień, który w niej rozgorzał.

- Virginio... - Głos Guya był przepelniony pożądaniem, a ona wiała się z rozkoszy pod dotykiem jego palców. - Najdroższa, jesteś taka piękna... doprowadzasz mnie do szaleństwa...

Jego język błędził po wrażliwych płatkach jej uszu. Pocałunki wytyczały drogę poprzez wzniesienie piersi aż po szczyt nabrzmiąłych sutków. Gdy ssał i drażnił językiem ich drżące koniuszki, Virginia jęknęła. Potem przesunął głowę niżej, a palce Virginii wplotły się w gęstwinę jego ciemnych włosów. Zadrżała, kiedy rozsuwając językiem włosy kędzierzawego trójkąta, dotarł do najbardziej ukrytej istoty jej płci. Każdym nerwem czuła eksplozję rozkoszy, narastającej wraz z przyływem ciepłej wilgoci między udami. Nie mogła już tego dłużej znieść...

- Dotknij mnie, kochanie... - Zaprowadził jej drżącą dłoń ku dołowi i skłonił jej palce do tego, by w pełni odczuły ogrom jego pożądania. - Powiedz mi, że mnie chcesz, pozwól mi to usłyszeć...

- Chcę ciebie... - Z trudem rozpoznawała swój głos, zdziwiona brzmącym w nim przerażeniem. - Chcę ciebie, Guy.

- Otwórz oczy. Spójrz na mnie.

Uniosła powieki i szeroko otwartymi oczyma patrzyła na rysy pochylonej nad nią ciemnej twarzy.

W ułamku sekundy spostrzegła gładkość skóry nad cieniem rosnącego zarostu, wyraźnie rysujące się w świetle księżycy kości policzkowe...

- Chcę ciebie... Kocham cię. - Virginia usłyszała własny szept i przeraziła się szczerością tego wyznania. Ale zarazem była to szokująca prawda! - O Boże! Guy, kocham cię!

- Aaach, Virginio... - Nagle fala gorąca zogniskowała się. Rozsunął jej kolana, by zrobić miejsce dla przemożnej siły szukającej w ciasnym i wilgotnym przejściu drogi do rozkoszy... Błysk triumfu w jego oczach widoczny był mimo półmroku panującego w sypialni. - Och, Virginio!

Zaskoczona, nie stawiała oporu. Krzyknęła, lecz głos uwiązł jej w gardle. Guy zamarł bez ruchu. Jego twarz sprawiała wrażenie granitowej maski. Uwięziona pod nim, trzęsła się tak gwałtownie, że musiała przyłgnąć do niego, by choć trochę zapanować nad sobą.

- Virginio... najdroższa... - Szept brzmiał jak oskarżenie pełne niedowierzania. - Skąd mogłem wiedzieć? - Z jękiem osunął swe mokre od potu czoło na jej piersi, a całe jego ciało zeszywniało z napięcia.

- Boże! Nie chcę cię skrzywdzić, przysięgam!

- Wszystko w porządku... proszę, nie przestawaj... - wyszeptała prawie niezrozumiale, owładnięta wstydem pomieszanym z lękiem i czystym pożądaniem.

Bez słowa wpił się w jej rozchylone wargi, a ich języki spotkały się w pocałunku równie zmysłowym i głębokim, jak ostateczne połączenie ich ciał. Ból rozrywający najbardziej sekretną i intymną część jej ciała zniknął. W to miejsce, wraz z jego ostrożnymi i delikatnymi ruchami, pojawiła się fala cudownej i zapierającej dech w piersi rozkoszy. Docierając do ostatecznego spełnienia nie myślała już o niczym, wbiła paznokcie w jego plecy i oplotła go mocno nogami...

Niezwykłe przeżycia, późna pora, a może jedno i drugie, okazały się znakomitym środkiem nasennym. Usnęła natychmiast w ciepłym uścisku Guya, czując bliskość jego silnego ciała. Nie wiedziała, jak mocno spała; dopóki nie obudziły ją odgłosy ulicznego hałasu i gruchanie gołębi za oknem.

Jeszcze nie w pełni obudzona przypominała sobie szczegóły ostatniej nocy. Potem otworzyła oczy, przeciągnęła się i wyciągnęła rękę, aby upewnić się, że Guy jest obok niej. Łóżko jednak było puste. Leżała jeszcze przez chwilę, przygryzając wargi. Jej ciało było obce - obolałe, sztywne...

Ostatniej nocy powiedziała Guyowi, że go kocha. Nie potrafiła spokojnie myśleć o tym, że jest to prawda, a tym bardziej nie mogła sobie wybaczyć, że mu ją wyjawiała. Było to tak, jakby sama wystawiła *się* na działanie niszczycielskiej *siły*, która nieuchronnie ją unicestwi.

Usiadła i bezmyślnie zaczęła wodzić wzrokiem po szarobłękitnej sypialni. Pierwszy raz widziała jego pokój w dziennym świetle. Wystrój nadal wydawał jej się zbyt oschły i nowoczesny, ale z wolna zaczęła dostrzegać w nim również cieplejsze akcenty - sosnowe drzwi, dywan utrzymany w głębokiej miodowej tonacji. Narzuciła na swoje nagie ciało narzutę w zielono-niebieskie geometryczne wzory. Przez wielkie okno, podobnie jak w salonie, widać było rzekę...

Nagle jej wzrok zatrzymał się na stole, na którym leżała kartka z wiadomością nakreśloną w wyraźnym pośpiechu. Ze swego miejsca nie mogła jej odczytać. Wpatrywała się w nią z bolesnym poczuciem zagrożenia, tak jakby to było małe niebezpieczne zwierzę, do którego lepiej się nie zbliżać. Czowała się strasznie bezradna, siedząc tak nie ubrana na łóżku. Co będzie, jeśli okaże się, że Guy chce się wycofać, że już gorzko żałuje tego, co wydarzyło się ostatniej nocy, że był to tylko wybuch nie kontrolowanej namiętności?

Wstała, odnalazła swoją nocną koszulę ciśniętą na dywan i w końcu przeczytała kartkę. Nie było tam nic dramatycznego czy sentymentalnego. Po prostu Guy wyszedł po gazety i po świeże rogaliki do najbliższej piekarni.

Kartka podpisana była dużą, czarną literą G. Przeczytała ją przynajmniej trzy razy, dopóki nie upewniła się, że nie zawiera ona żadnych ukrytych psychologicznych treści, a jest jedynie prostym stwierdzeniem faktów. Nagle zorientowała się, że ktoś właśnie otworzył frontowe drzwi i jest w holu.

Guy...? - Ciekawa była, jak to będzie, kiedy znowu go zobaczy, po nocy spędzonej w tak niewyobrażalnej bliskości. Czy będzie zawstydzona? Nie, raczej odsłonięta. Bezbronna i odsłonięta.

Drzwi sypialni otworzyły się i uśmiech zamarł na twarzy Virginii. Nowo przybyła osoba wcale nie była Guyem, ale smukłą niską kobietą dobiegającą trzydziestki. Miała błyszczące błękitne oczy w kształcie migdałów i gęste, świetnie obcięte, popielatoblond włosy opadające na jedwabny karczek eleganckiego kostiumu w biało-czarne prążki. W ręku trzymała dużą, czarną, skórzaną torbę. Tylko dzięki butom na niezwykle wysokich obcasach mogła patrzeć Virginii, która stała bosą, prosto w oczy.

Nieznajoma obrzuciła Virginie krytycznym wzrokiem i na jej koraloworóżowych znużonych wargach pojawił się wyraz rozbawienia.

- Świetnie! Witam... - powiedziała ostro. - Doprawdy nie wiem, co powiedzieć!

- Przykro mi, ale Guya nie ma w domu - powiedziała Virginia tak gładko, jak tylko umiała, z bolesną świadomością tego, jak źle się prezentuje. -

Wyskoczył po gazety...

- A kim pani jest?

- Virginia Chester. - Wyciągnęła rękę. Blondynka zignorowała ten gest i przyglądała jej się przenikliwie.

- Aha, ten seksowny rudzielec z Sarah Chester Fabrics...

- Co? - Zażenowanie Virginii ustąpiło miejsca wściekłości.

- Oj, przepraszam, po prostu słyszałam, jak tata i Guy mówili tak, śmiejąc się, kilka dni temu. Cześć, jestem Nicola Schreider.

- Nicola Schreider?

To przynajmniej tłumaczy jej wyzywające chamstwo, pomyślała Virginia. Śmiał się z niej? Guy śmiał się z niej ze swoim współnikiem w interesach? To niemożliwe, podpowiadał jej rozsądek. To jego była narzeczona chce namieszać między nami. Wściekłość powodowała, że miała ściśnięte gardło i rumieniec na twarzy. Była zła na siebie za swoją niepewność i łatwość, z jaką udało się tej dziewczynie ją obrazić.

Nerwowo przełykając ślinę, przyglądała się tej pięknej kobiecie, która była narzeczoną Guya. Była? Rzuciła okiem na jej lewą rękę i na czwartym palcu dostrzegła połyskujący brylantami, zaręczynowy pierścionek. Poczula, jak ogarnia ją ślepa rozpacz. To tę kobietę podobno Guy porzucił. Nicola Schreider nie wyglądała jednak na taką, którą mężczyzna mógłby porzucić.

- Miałam przekazać Guyowi wiadomość od mego ojca - rzuciła blondynka, spoglądając do tyłu w kierunku półotwartych drzwi. Obdarzyła Virginię tak bezwstydnie nieszczerym uśmiechem, że ta chętnie roześmiałaby się, gdyby jej serce nie łkało z bólu...

- Tata jadł wczoraj kolację z Bertrandem Keane z Farthingdales. Oni są naprawdę zainteresowani wykupieniem...

Na dźwięk nazwiska Farthingdales Virginia drgnęła.

Poczula chłód w okolicy serca. Coś było zdecydowanie nie w porządku...

- Chwileczkę... - przerwała z wściekłością - kogo oni chcą wykupić? Co mi próbujesz w ten sposób powiedzieć?

- Nic nie próbuję ci powiedzieć. Po prostu miałam przekazać wiadomość, kochanie. Choć muszę przyznać, że jestem zdziwiona, że sypiasz z Guyem. Myślałam, że to nielojalne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie, nie rozumiem.

Nicola Schreider wzruszyła swymi ślicznymi ramionami i spojrzała na zegarek.

- To, że sypiasz z Guyem, podczas gdy on sprzedaje firmę twojej rodziny konkurencji. Byłam przekonana, że wiesz o tym. Ale w końcu to pewno zasługa Guya. Zawsze zdobywa to, na co ma ochotę.

- Nie wierzę ci - powiedziała obojętnie, lecz w głębi duszy czuła, że umiera. - Guy nie zrobiłby tego, ma plany co do przyszłości Chesterów. Jest w nich miejsce również dla moich projektów...

- Nikt nie chce kupować śniętej ryby. Im ładniejsze opakowanie, tym lepsza cena. Ale oczywiście możesz wierzyć, w co chcesz. Przyjmij jednak ode mnie jedną radę: nie miej złudzeń z powodu kilku upojnych nocy spędzonych z Guyem... W stosunkach z kobietami jest on ostatnim draniem, kochanie. I mam prawo go sądzić, ponieważ zamierzam wyjść za niego za mąż. Ciao!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Virginia pośpiesznie wrzuciła swoje rzeczy do torby i właśnie ją zapinała, kiedy wrócił Guy.

- Dzień dobry... - Łagodne ciepło jego głosu przyprawilo ją o drżenie serca. Odwróciła się powoli, patrząc, jak ostrożnie kładzie torbę z pachnącymi rogalikami i numer „Financial Times” na stoliku w holu i kieruje się w jej stronę. - Nie przypuszczałem, że już wstałaś i ubrałaś się...

Z trudem potrafiła oprzeć się jasnemu spojrzeniu jego oczu. Zauważyła, że przy okazji zakupów uprawiał jogging. Miał na sobie czarny dres i wygodne sportowe buty. Rozpalony biegiem, opalony, z ciemnymi rozwianymi włosami, był nieodparcie pociągający. Zacisnęła mocniej pasek swego płaszcza, podniosła kołnierz, tak jakby spodziewała się zadymki śnieżnej i chwyciła uchwyt torby.

- Nie mogłabym przecież wracać do Oxfordshire ubrana tylko w moją skąpą nocną koszulę - wyjaśniła spokojnie, odważnie robiąc krok w jego stronę. - Przepraszam, ale zamówiłam już taksówkę i śpieszę się na pociąg...

Oczy Guya zwięzły się niebezpiecznie i pociemniały. Zapadło przytłaczające milczenie. Czekala, aż Guy się odsunie.

- Proszę, zejdz mi z drogi...

- Virginio - zaczął spokojnie, lecz w jego głosie brzmiała złowroga nuta - możliwe, że jestem staroświecki, ale myślałem, że ostatniej nocy wydarzyło się między nami coś niesłychanie poważnego...

Zaprzeczyła ruchem głowy tak gwałtownie, że aż zabolala ją szyja.

- Mała poprawka! Zeszłej nocy ty dostałeś, czego chciałeś, a ja to, na co zasłużyłam. Nie cierpię głupców i nie wiem, ile czasu musi minąć, zanim będę mogła spojrzeć na własną twarz w lustrze.

Guy nie poruszył się. Nagle wydał się wielki i przerażający. Jej złość zaczęła się zmieniać w falę chłodu.

- Nigdzie nie wyjdiesz, dopóki nie wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział. - Co się dzieje?

- Nic! Nic się nie dzieje. Ja jadę do domu, a ty możesz nadal prowadzić rozwiązłe życie, ożenić się z Nicolą Schreider, a jak ci się to znudzi, wyskoczyć na Santa Lucię, gdzie uwielbiająca cię Tara chętnie się z tobą prześpi! Możesz również sprzedać Sarah Chester i zgarnąć grubą forszę i w końcu niech cię piekło pochłonie, tego ci życzę!

Trzęsła się z wściekłości, z trudem powstrzymując łzy.

- O czym tym, do diabła, mówisz, Virginio? - Jego opanowanie odbierało jej pewność siebie. Wolałaby nie skrywany wybuch gniewu.

- Mówię o zaufaniu, o przyzwoitości, o godności... O sprawach zupełnie ci obcych!

- Tej nocy odniosłem wrażenie, że jestem twoim pierwszym kochankiem - powiedział zimno. - Zaufałaś mi tak bezwzględnie, że nawet nie uznałaś za stosowne ostrzec mnie, że robisz to po raz pierwszy, a teraz okazuje się, że jestem czymś pośrednim między pedofilem a gwałcicielem staruszek. Czy tak?

Zbladła, starając się zapanować nad swoimi uczuciami.

- Przepuść mnie, Guy!

- Nie wyjdiesz, dopóki mi rozsądnie nie wyjaśnisz tych wszystkich idiotyzmów.

- Kiedy cię nie było, miałaś gościa - wyrzuciła z siebie.

Guy chwycił się za głowę.

- O, mój Boże, czyżby tu była policja obyczajowa?

- To wcale nie jest śmieszne!

- Wcale nie jest. - W jego oczach nie było już rozmyślnego szyderstwa, lecz mrok. Serce Virginii ścisnęło się boleśnie. - Powiedz mi w końcu, kto to był.

- Twoja narzeczona, Nicola Schreider. Otworzyła sobie drzwi własnym kluczem - powiedziała w końcu Virginia. - Diamenty Liz Taylor, w porównaniu z tymi, które ona miała na palcu, wyglądają jak tandetne świecidełka. Gratuluję dobrego gustu w wyborze pierścionków zaręczynowych...

Rzuciła się ślepo do przodu, próbując przejść. Ku jej zdziwieniu Guy odsunął się i przepuścił ją. Zmrużył oczy i skrzywił się.

- Tak więc Nicola była tutaj i powiedziała, że jesteśmy nadal zaręczeni? - dopytywał się spokojnie. - Co jeszcze ci powiedziała?

- Miała dla ciebie wiadomość od swego ojca. Bernard Keane z Farthingdales jest bardzo zainteresowany kupnem Sarah Chester. Czy to jest właśnie jedna z tych niekorzystnych zmian, o których mnie uprzedzałeś?

- Virginio...

Na dole zatrąbiła taksówka.

- Żegnaj, Guy... Mam nadzieję, że będziesz się świetnie bawił z Nicolą i jej ojcem, kiedy zobaczycie się następnym razem!

Chwyciła za klamkę i oślepiona łzami wybiegła, zamykając z trzaskiem drzwi za sobą.

Powinłam była wiedzieć... powinłam była wiedzieć, że tak to się skończy. Nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje, wracała do Armscott Manor.

W oczach wirowały jej zamazane ludzkie twarze i nieokreślone obrazy. Była tak pogrążona w rozpacz, że nie potrafiłaby powiedzieć, czy było sucho, czy padało, czy był to dzień, czy noc, lato czy zima.

Ta noc okazała się okrutnym żartem, myślała, a przed jej niewidzącymi oczami, za oknem pociągu, migały uginające się na wietrze drzewa i krowy spokojnie pasące się na polach. Dręczyła ją myśl, że przecież bardzo często w ostatnich latach zarzucano jej, że jest zbyt impulsywna, nieodpowiedzialna i nadmiernie idealistyczna. Jak mogła pozwolić, wbrew wszelkim dowodom i swojej wiedzy o Guyu, aby wydarzenia potoczyły się w taki sposób? Jak mogła, w chwili nagłej szczerości, wyjawić mu, że jest wystarczająco głupia, żeby się w nim zakochać?

Guy był chciwy, amoralny, owładnięty żądzą władzy i sukcesu. Przecież od początku wiedziała, że jest właśnie takim człowiekiem. A gdyby nawet nie wiedziała, dość było po drodze znaków ostrzegawczych. Jego kpiny na Santa Lucii, od pierwszego momentu, kiedy ją zobaczył... Kłamstwa dotyczące Tary i Nicoli... Zapewniał ją, że nie jest w jego typie, a potem ścigał jak wytrawny myśliwy, dopóki z satysfakcją nie odkrył, że dojrzała do tego, aby ją uwieść...

Chyba głośno westchnęła, bo siedząca naprzeciwko dama w średnim wieku rzuciła jej pełne zaniepokojenia spojrzenie, dopóki znów nie schowała się za ilustrowanym pismem.

Była zła na siebie za swoją łatwowierność i nie mogła pozbyć się tego uczucia przez całą drogę powrotną. W domu ukryła się w swojej sypialni. Siedziała przy oknie, patrząc na rysujące się w oddali wzgórza Costwold i zadreżając się ponurymi myślami. Niejasno uświadamiała sobie, jak boleśnie odczuwa brak matki. Gdyby matka żyła, Virginia mogłaby zwierzyć się ze

swojego strasznego osamotnienia jedynej osobie, która potrafiłaby ją zrozumieć...

- Virgie...? - Usłyszała głos Lucy dobiegający z półpiętra. Otrząsnęła się, sztywno podniosła z krzesła i spojrzała na zegarek. Przez całą godzinę siedziała tak bez ruchu, tocząc wewnętrzną walkę i zastanawiając się, czy powinna uprzedzić rodzinę o perfidii Guya. Jakaś niemądra nadzieja, że może jednak pomyliła się, trzymała ją przykutą do miejsca i nie pozwalała podjąć decyzji...

- Virgie...?

Głos Lucy przywołał Virginię do rzeczywistości. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Na szczycie schodów zobaczyła bratową, skuloną, z trudem trzymającą się na nogach i przeraźliwie bladą.

- Lucy... Czy to dziecko? Och, Lucy... - Po chwili była już przy niej i otoczyła ją ramieniem. - Spokojnie... Chodź, połóżysz się u mnie, a ja zadzwonię do doktora.

- Nie... - Lucy z wysiłkiem łapała oddech, a jej paznokcie boleśnie wbiły się w rękę Virginii. - Nie ma już czasu. Czy możesz zawieźć mnie do szpitala? Zaraz...

- Oczywiście. - Virginia była równie blada jak jej bratowa. Z trudem udało się im zejść na dół i przebyć korytarz. - Nie bój się, Lucy. Wszystko będzie dobrze. Kiedy to się zaczęło?

- Wszystko stało się tak nagle... Charles wyjechał do Walii po jakieś maszyny, tata gra w golfa, a pani Chalk ma dziś wolne. Och...

Okazało się, że doprowadzenie ciężarnej Lucy do volvo prawie przerasta siły Virginii. W pewnej chwili wydało jej się, że obie zaraz upadną. W tym momencie, z piskiem opon, szary aston martin Guya pojawił się przed domem i gwałtownie zahamował.

Guy zorientował się natychmiast, co się dzieje i wkroczył do akcji.

- Guy, dzięki Bogu, że jesteś... - To Lucy wyszeptała słowa podziękowania przez zaciśnięte z bólu zęby. W jej błękitnych oczach widać było strach i ból.

- Och, Guy... Nie chcę stracić mego dziecka...

- Nie stracisz. - Spokojna pewność w jego głosie podziałała kojąco na wzburzone nerwy Virginii. Guy z łatwością uniósł Lucy i ostrożnie umieścił na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Gestem nakazał Virginii, aby usiadła przy bratowej.

Krótką podróż do szpitala była jednym koszmarem. Najpierw Guy zadzwonił do szpitala, potem do Walii, do fabryki, w której miał być Charles. Tam od sekretarki dowiedział się, że Charles wyjechał już przed kilkoma godzinami. Potem Virginia dzwoniła do Charlesa, do biura, zostawiając wiadomość, że ma od razu przyjechać do szpitala. Następnie zaś do pani Chalk, która zgodziła się skrócić swój wolny dzień i dyżurować przy telefonie, na wypadek, gdyby Charles najpierw zadzwonił do domu.

- Boję się, okropnie się boję - jęczała Lucy, szara jak popiół i mokra od potu. - Chcę, żeby Charles był ze mną...

- Oddychaj powoli, postaraj się rozluźnić. Wszystko będzie dobrze. Ty i Charles będziecie mieli śliczne zdrowe dziecko. Tylko spokojnie. Wszystko będzie dobrze... - Głos Guya miał hipnotyczne właściwości i działał na Lucy uspokajająco, lecz mimo to Virginia wcale nie odnosiła wrażenia, że wszystko idzie dobrze. Lucy miała rozgorączkowany wzrok, a jej czoło było zdecydowanie zbyt ciepłe.

W końcu dojechali. Lucy umieszczono troskliwie - na tyle, na ile pozwalał na to pośpiech - na wózku i natychmiast zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Virginia wpatrywała się w Guya, kiedy czekali tak stojąc koło recepcji. Zapach środków bakteriobójczych i beznadziejnie dłużące się oczekiwanie sprawiły, że znowu powróciły bolesne wspomnienia. Przypomniała jej się poczekalnia, w której siedziała dwa lata temu i lekarz wchodzący ze

straszną wiadomością, że podczas zwykłej operacji wyrostka robaczkowego jej matka dostała ataku serca i umarła.

Virginia zadrżała. Uświadomiła sobie, że ból i wstrząs wywołane tą stratą trwają nadal, że oddziałują ciągle na jej życie, że boi się głębszych związków z ludźmi, przeczuwając, że takie cierpienia mogłyby się powtórzyć, gdyby znowu kogoś straciła...

Obrzuciła Guya spojrzeniem pełnym udręki. Dostrzegła, że zmienił swój czarny dres na wypłowiałe džinsy i zniszczoną skórzaną kurtkę. Nie wyglądało na to, żeby jego przyjazd do Armscott Manor miał związek z interesami. Nawet w takiej chwili nie przestawały ją męczyć wspomnienia wydarzeń ostatniej nocy.

- Myślisz, że Charles zdąży na czas? - spytała bez sensu. Guy prawdopodobnie wiedział tyle samo, co ona.

- Może nie zdążyć, ale Lucy na pewno sobie poradzi. Jest dużo twardsza, niż wskazywałby na to jej wygląd niebieskookiej dziewczynki ze złotymi lokami.

Odpowiedź Guya brzmiała w gruncie rzeczy bardzo spokojnie, ale Virginia dostrzegła niepokój czający się w jego wzroku. Wygląda na to, że Lucy i Charles naprawdę go obchodzą, pomyślała zmieszana. Tym bardziej bolała ją jego zdrada wobec ich firmy. Czyżby Guy potrafił tak ściśle odgraniczyć interesy od życia prywatnego? Ale jak mógł być taki... fałszywy? Jak mógł udawać, że planuje rozwój Sarah Chester i cały czas knuć przeciwko nim? Oczywiście, zawsze go o to podejrzewała, chociaż w ciągu ostatniej doby przez moment miała nadzieję, że to nieprawda. I w nocy...

Ostatniej nocy czuła przecież, że Guy jest jej bliższy fizycznie i psychicznie, niż ktokolwiek inny na świecie.

- Nic jej nie będzie, Virginio. Wiem, że wszystko będzie dobrze...

Poczuła się upokorzona tym, że tak bardzo pragnęła rzucić się w jego szerokie ramiona. Zamiast tego zeszywniała pełna złości i niechęci do niego.

- Skąd wiesz? Bo masz ojca lekarza? - spytała cierpko i natychmiast pożałowała swoich słów. Guy obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- W trudnych chwilach ludzie podobno pokazują najlepsze strony swego charakteru...

- Przepraszam cię - powiedziała unikając jego badawczego wzroku. Zagryzła boleśnie wargi. Zapadło pełne napięcia milczenie.

- Zostanę tu - powiedziała wreszcie - ale nie ma potrzeby, żebyś ty czekał...

- Myślę, że jest - odparł chłodno. - Lucy i Charles są moimi przyjaciółmi.

- Dopóki to nie przeszkadza w interesach - powiedziała z goryczą.

- Mam już dosyć twojej małostkowej podejrzliwości, Virginio. Zawsze to samo, winny, dopóki nie udowodni swojej niewinności. Oto twoja życiowa dewiza.

- Czyżbyś zamierzał przeprowadzić dowód swojej niewinności? - powiedziała pogardliwie. Jej twarz pałała gniewem.

- Obawiam się, że byłaby to strata czasu. Mówiłem ci, Virginio, że nie jestem święty...

Było coś z jego dawnego kpiącego tonu w tym ostatnim zdaniu, ale w jego słowach dał się wyczytać również ukryty chłód, którego nigdy przedtem nie było.

- Czy pani jest bratową pani Chester? - odezwał się za nimi głos pielęgniarki i Virginia odwróciła się szybko.

- Tak. Jak ona się czuje?

- Jest już w sali porodowej, ale mogą się pojawić pewne komplikacje. Lekarze rozważają konieczność cesarskiego cięcia - wyjaśniła krótko pielęgniarka.

- Mam nadzieję, że ktoś się skontaktował z mężem pani Chester.

- Tak, zostawiliśmy mu wiadomość, przynajmniej w dwóch miejscach. Miejmy nadzieję, że jest już w drodze. - Virginia czuła, jak żołądek podjeżdża

jej do gardła. Cesarskie cięcie? Czy to niebezpieczne? Wszystko przecież może się zdarzyć, kiedy zabieg dokonywany jest pod pełną narkozą.

Może być niedobrze... Wszystko, jak zwykle, źle się układa. Kiedyś wierzyła w sprawiedliwość i miłosierdzie, ale straciła matkę... Mortimer, którego obdarzyła zaufaniem, zawiódł ją... Z całego serca i duszy zaufała Guyowi ostatniej nocy, a on wyśmiewał się z niej za plecami, nazywając ją „seksownym rudzielcem”...

A jeżeli coś stanie się Lucy... Serce Virginii boleśnie ścisnęło się w piersi, życie nagle wydało się nie do zniesienia: okrutne, kruche i nieprzewidywalne.

- Czy mogłabym ją przedtem zobaczyć? - spytała drżącym głosem. Zatrwożona własnym lękiem, nie potrafiła go opanować. Czowała, że Guy uważnie ją obserwuje. Wcisnęła ręce głęboko do kieszeni płaszcza i ze wszystkich sił starała się zapanować nad sobą.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. - Pielęgniarka pokręciła głową. - Zresztą jeszcze wcale nie wiadomo, czy zabieg okaże się konieczny...

- Ginny, Guy! - Charles bez tchu, z twarzą białą jak kreda, wpadł do szpitala. - Właśnie dostałem wiadomość od pani Chalk...

- To pan jest mężem pani Lucy Chester? - przerwała mu pielęgniarka. - W samą porę, żona prosi pana...

- Charles, dzięki Bogu, że jesteś...

- To jest numer telefonu w moim samochodzie - przerwał jej Guy. - Zadzwoń w razie czego. Chodź,

Virginio, pojedziemy gdzieś, może coś zjemy, jeśli będziemy mieli chwilę czasu...

Zanim zdążyła zamienić choć jedno słowo z bratem, Charles zniknął za drzwiami oddziału położniczego. Po chwili, blada i roztrzęsiona, sadowiła się w samochodzie Guya.

Główną szosą wyjechali z miasta, a potem Guy skręcił w wąską, obrośniętą drzewami wiejską drogę. Jechali przez nieskończenie spokojne

okolice, aż skręcili obok znaku „Droga prywatna” i zatrzymali się koło wiejskiego domu o nagranych słońcem kamiennych ścianach, wyglądających spod słomianej strzechy.

- Dlaczego mnie porwałś? - zdołała w końcu wyszeptać. - Powinnam tam zostać. Charles jest moim bratem...

- Virginio, kochanie, Lucy nic nie będzie. - W jego słowach brzmiała czułość, której nie potrafił opanować. Była zbyt pochłonięta lękiem, aby się nad tym zastanawiać.

- Jeżeli cokolwiek stanie się Lucy... - wyszeptała ze złością. - Ona jest taka kochana i Charles ją uwielbia...

- Wiem. I wszystko będzie w porządku. Ale ty zachowujesz się irracjonalnie... - W głosie Guya zabrzmiała pytająca nuta.

- To prawda. Przepraszam. Przeważnie nie mam zwyczaju histeryzować. - Z ogromnym wysiłkiem starała się wziąć w garść.

- O co chodzi, Virginio? Przecież nie o Lucy i jej dziecko?

- Nie. Moja mama poszła do tego szpitala na drobną operację i umarła. Kiedy tam byliśmy, nagle to wszystko Wróciło. - Znowu zwierza się, pomyślała, ale nie potrafiła się powstrzymać. - Lucy miała pewne powikłania w czasie ciąży i tak bardzo się o nią boję...

- Virginio... - Guy próbował tulić ją w ramionach, lecz nie pozwoliła mu na to. Nie nalegał, a ona, ku swemu przerażeniu, zalała się łzami.

- Nie boisz się po prostu o Lucy, ciągle rozpaczasz z powodu straty matki - zauważył w końcu Guy. - Nie ma w tym nic złego, Virginio. Nie wstydź się łez...

Po omacku szukała chusteczki w kieszeni, zawstydzona niedawną utratą panowania nad sobą. Przynajmniej nie wyplakiwała się tym razem w jego ramionach, zapamiętała wczorajszą gorzką lekcję. A jednak Guy okazał się specjalistą od nakłaniania ludzi do zwierzeń. Spośród wszystkich ludzi na świecie to właśnie jego wybrała, aby zwierzyć się ze swych lęków i

niepewności, to jemu właśnie opowiedziała o Mortimerze, beztriosko ofiarowała mu swoje dziewictwo, otwarcie wyznała miłość, a teraz obnażyła przed nim swoją duszę i wyznała ogromny ból po stracie matki.

Wiedząc o Nicoli Schreider, o jego interesach z Farthingdales, znowu łkając opowiada mu o swoich kłopotach, tak jakby stanowił jedyną prawdziwą opokę w jej życiu. Zwariowałam, stwierdziła strapiona, trzeba mnie zamknąć...

- Czy ja ci wypominam, że przypominasz poduszeczkę ze szpilkami? - zakpił z niej delikatnie, tak jakby czytał w jej myślach. - Wiem dobrze, że pod tą kłującą, pełną pesymizmu i podejrzeń powłoką jesteś kłębkim nerwów. Ktoś powinien się tobą zająć.

Patrzyła przez okno samochodu. Słońce znalazło szczelinę w chmurach i ozłociło szmaragdowe łąki i ciemne lasy. W dole dym unosił się nad pierwszymi jesiennymi ogniskami.

- Virginio, twoja matka zmarła tragicznie, ale nie możesz pozwolić, aby to zniszczyło całe twoje życie...

- Tak, wiem - powiedziała zduszonym głosem. Znowu zapadło nie kończące się milczenie.

- Virginio, musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy...

- Nie, nigdy - powiedziała zdecydowanym tonem. - Ani o dzisiejszej nocy, ani o dzisiejszym ranku. Chcę zapomnieć o tym wstrętym epizodzie jak najprędzej, jeśli nie masz nic przeciwko temu... - Zakryła twarz dłońmi i gryzła palce w cichej rozpacz, aby się znowu nie rozpłakać.

- To, co wydarzyło się ostatniej nocy, nie było wstrętne - powiedział głosem pełnym napięcia. - Wstrętne było to, co nastąpiło rano. Najpierw wyznanie miłości, a potem ciśnięte w twarz oskarżenie. To było wstrętne. Brak zaufania może zabić każdy związek między ludźmi...

- Między nami nie ma żadnego związku. I nie próbuj zrzucać winy na mnie. Najpierw Tara, potem Nicola i jeszcze Farthingdales... Czy próbujesz

mnie przekonać, że mogę ci uwierzyć po tym, jak tyle razy zawiodłeś moje zaufanie?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, następnie bez słowa wysiadł z samochodu, okrążył go i otworzył jej drzwiczki.

- Chodź - powiedział łamiącym się głosem - chcę ci coś pokazać.

Z niechęcią spojrzała na wyglądający spod słomianej strzechy dom. Otaczająca go aura ciepła i gościnności wzmagała jedynie jej smutek. Nie miała odpowiedniego nastroju, aby zachwycać się czymś, co przywodziło na myśl ciepło domowego ogniska. Za domem wznosiło się zalesione wzgórze, porośnięte bukami i dębami, które zaczęły właśnie przybierać swe pomarańczowożółte jesienne kolory. Po ogromnym stawie pływała para kanadyjskich gęsi i kilka kaczek. W sadzie, otoczonym kamiennym murkiem, jabłonie uginały się pod ciężarem złotych renet. Napis na tabliczce głosił: Millford Crest.

Spojrzała chłodno na Guya.

- Idź, proszę. Ja widzę stąd wszystko, co chciałabym zobaczyć.

- Nie wszystko, chodź... - Chwycił ją za ramię. Chcąc uniknąć walki, nie miała innego wyjścia, jak tylko podążyć za nim w kierunku pomalowanej na biało furtki. Patrzył przez dłuższą chwilę na dom, potem odwrócił się i oparty o furtkę podziwiał roztaczający się w dole widok, łąki pełne owiec i kamienne dachy domów w sąsiednich wioskach.

- No więc - zauważyła kwaśno - czy to właśnie chciałeś mi pokazać?

Widzę tu wiejską chałupę, parę owiec i kilka górtek.

Guy pokręcił głową i spojrział na nią twardo.

- Widzisz przed sobą nowego właściciela Millford Crest. Jak ci się tutaj podoba?

- Chcesz powiedzieć, że to twoje?

- To wszystko jest moje - spokojnie potwierdził Guy. - Podpisałem umowę w zeszłym tygodniu. Podoba ci się?

Wzruszyła ramionami, ale w gardle poczuła bolesny skurcz. Dlaczego kupił dom w Oxfordshire? Czyżby on i Nicola stali się dla odmiany miłośnikami wiejskiego życia, które zamierzają tu pędzić?

- Dlaczego pokazujesz mi to miejsce?

- Zacząłem właśnie urządzać dom i myślałem, że może cię to zainteresuje...

- Nie sądzę. A przy okazji, ile domów jest ci właściwie potrzebnych?

- Sprzedaję mieszkanie w Londynie.

- Ach, tak. - Skinęła głową. - Musisz postarać się dla Nicoli o parę wygodnych zielonych kaloszy. Ona wygląda na zatwardziałego mieszczucha.

- Bo nim jest. Zupełnie nie pasuje do wiejskiego stylu życia.

Coś w jego głosie zmusiło ją do spojrzenia na niego.

- W takim razie będziecie jednym z tych nowoczesnych małżeństw, które mieszkają oddzielnie przez większość czasu?

- Ten rodzaj małżeństwa wcale mi nie odpowiada.

Virginia ze złością ruszyła w stronę samochodu, ale Guy dogonił ją w kilku susach, złapał za ramiona i zmusił, aby spojrzała mu w twarz.

- Guy... - Nogi trzęsły się jej coraz bardziej i bała się, że upadnie. - Nie chcę tu zostać dłużej. Muszę wracać do szpitala.

- Mają mój numer telefonu i jeżeli coś się stanie, na pewno zadzwonią. Poza tym, to tylko dziesięć minut jazdy.

- Powinam tam być.

- Aby wpaść znowu w histerię? - spytał ostro. - Gdyby Charles miał dosyć czasu, żeby zauważyć, w jakim byłaś stanie, uznałby, że stało się najgorsze.

Uspokój się, Virginio i posłuchaj mnie przez chwilę. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ chciałem pokazać ci dom, który kupiłem w Oxfordshire. Dom, który kupiłem, aby w nim zamieszkać. Wiem, że twoim zdaniem, pod względem przyzwoitości mieszczę się gdzieś pomiędzy Idi Aminem a Sinobrodym i do-
prawdy sam nie wiem, czemu ciągle próbuję się przed tobą usprawiedliwiać.

Podejrzewam, że taki spekulant i szachraj jak ja, nigdy nie okaże się wystarczająco niewinny, żeby sprostać twym wzniosłym zasadom.

Patrzył na nią gniewnym wzrokiem. Stała jak zahipnotyzowana, prawie nie czując jego palców wbijających się w jej ramię.

- Guy, to boli...

Dzwonek telefonu przerwał narastające napięcie. Guy natychmiast uwolnił ją i rzucił się w kierunku samochodu. Virginia chciała pobiec za nim, ale poczuła przenikający ją chłód. Nie mogła się ruszyć. To ze szpitala.

Uświadomiła sobie, że śmiertelnie boi się nowin, które może usłyszeć. Złe wieści zazwyczaj zaskakują nas zniemacka...

- Zaraz tam będziemy. - Krótka rzucona odpowiedź sprawiła, że krew znowu zaczęła krążyć w jej żyłach. Virginia podbiegła do samochodu. Niepokój o Lucy i Charlesa przesłonił jej własne kłopoty.

- Co mówili? Co się dzieje?

Widząc bolesną niepewność w jej oczach, Guy uśmiechnął się z trudem.

- Lucy ma dziecko, chłopca - powiedział. - Oboje czują się dobrze.

- Za Dawida Guya Chestera! Trzy kilo osiemdziesiąt dekagrama i płuca jak dzwon! - Charles obnosił wkoło srebrną tacę z kieliszkami szampana. Uśmiechał się pełen radości i dumy, patrząc na zebraną w oranżerii rodzinę. - Chcemy, żebyś był jego ojcem chrzestnym, Guy.

- Świetny pomysł - ucieszył się ojciec.

Virginia skamieniała. W atmosferze ogólnej radości, pomagając pani Chalk w przygotowywaniu kanapek i herbaty, spokojnie zniosła wszystkie gorące podziękowania składane Guyowi za to, że zawiózł Lucy do szpitala, pomógł wszystkim zachować spokój i optymizm, był dla nich wsparciem i opoką. Jednak ogłoszenie, że Guy ma być ojcem chrzestnym dziecka, przywołało ją do rzeczywistości. Wstała gwałtownie.

- Chcecie, żeby Guy był ojcem chrzestnym? - powtórzyła, jakby nie dowierzając własnym uszom. - Czyście poszaleli? Nie widzicie, co ten człowiek robi za waszymi plecami?

- Ginny, przecież chcemy, żebyś ty była matką chrzestną... - Uśmiech Charlesa przygasł tylko na chwilę. Był zbyt szczęśliwy, aby cokolwiek mogło mu zepsuć nastrój. Za to ojciec popatrzył na nią srogo znad swojej szklanki.

- Dostyc już, Virginio! Czy mogłabyś w końcu przestać?

- Dziś rano narzeczona Guya, Nicola Schreider, powiedziała mi, że prowadzi on tajne negocjacje z Farthingdales - oznajmiła Virginia drżącym głosem. - Tato, on sprzedaje Chesterów! Po tych wszystkich mglistych obietnicach dotyczących inwestycji, usprawnień, nowych linii technologicznych okazuje się, że zostaliśmy sprzedani konkurencji. To tak właśnie Schreider Stern Incorporation dopuszcza innych do swoich słynnych zyskownych interesów! No więc, Charles, nadal chcesz, żeby Guy był ojcem chrzestnym twojego dziecka?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dłonie trzymające kieliszki z szampanem zastygły w bezruchu. Ojciec i Charles wymienili spojrzenia, a potem zwrócili się w stronę Guya. Zapadło kłopotliwe milczenie.

Virginia spojrzała na Guya i serce jej zamarło. Siedział zupełnie spokojnie przy kominku, w dzinsach i sportowej koszuli. Nic nie wskazywało na to, że jest człowiekiem, któremu właśnie zdarto maskę, aby ujawnić jego prawdziwe oblicze.

- Czy to prawda, Guy? - pierwszy odezwał się jej ojciec.

- Oczywiście, że nie - przerwał szybko Charles, rzucając Virginii niechętnie spojrzenie. - Lepiej sam im to wytłumacz, Guy. Powiedz to, co wczoraj mówiłeś mi przez telefon...

Guy patrzył na Virginie. Nieubłagana wrogość jego spojrzenia zmroziła ją.

- Dobrze. Już wyjaśniam. Negocjacje były utrzymywane w tajemnicy, ponieważ były bardzo... kontrowersyjne. Ale to nie Farthingdales kupuje Sarah Chester Fabrics, to Sarah Chester kupuje Farthingdales...

- Co?! - Virginia nie potrafiła powstrzymać się od okrzyku. - To śmieszne. Chesterowie nie mają dość pieniędzy, aby kupić taką ogromną firmę...

Twarz Guya przypominała maskę. Virginia zrozumiała, że jej oskarżenie, rzucone wobec całej rodziny, doprowadziło go do zimnej furii. Nagle znowu poczuła, że toczy spór z zupełnie obcym człowiekiem. Ich bliskość ostatniej nocy dziś wydawała jej się podwójnie nieodpowiednia wobec tej strasznej wrogości. Zaciśnęła pięści, walcząc z narastającym w niej poczuciem pustki.

- Musiałem użyć wszystkich moich dobrze znanych szachrajskich talentów, aby skłonić bank do sfinansowania tego interesu - mówił Guy beznamiętnym tonem. - Farthingdales walczą o rynek tak samo twardo jak Sarah Chester. Kupujemy Farthingdales. Następnie wprowadzamy cięcia finansowe i

kadrowe w ich firmie, i w ten sposób możemy ocalić Sarah Chester. Okreźną drogą, ale skutecznie. Jeśli to zagraża wzniosłym zasadom Virginii, trudno. To jest biznes...

Pociągnął łyk szampana, krzywiąc usta w uśmiechu.

- Zamierzam porzucić swą lukratywną posadę w City - powiedział. - Chcę posterować w całkiem innej stronie, ale pod warunkiem, że mój statek na pewno utrzyma się na wodzie.

- Chcesz więc całkowicie poświęcić się Sarah Chester? - spytała wreszcie Virginia drżącym głosem. - Rezygnujesz ze swojej kariery w Londynie?

- Tak. Sprzedaję mieszkanie w Londynie i kupuję dom, który ci pokazałem. Będę mieszkał tutaj i myślę, że to polubię. Możesz wierzyć lub nie, ale kiedy Charles zwrócił się do mnie o pomoc, perspektywa produkowania pięknych rzeczy w firmie, która w dodatku traktuje swoich pracowników jak ludzi, wydała mi się pociągająca.

Virginia patrzyła na niego w niemym zdumieniu. Czowała się zdruzgotana. ,

- Guy, przecież dziś rano Nicola powiedziała...

- Nicola to intrygantka, chciała narobić zamieszania... i udało jej się.

Trzeba zresztą przyznać, że trafiła na podatny grunt.

- Nosila pierścionek zaręczynowy od ciebie i mówiła, że zamierzacie się pobrać...

- A ty jej uwierzyłaś? - odparł Guy spokojnie. - Po tym, co było ostatniej nocy?

Charles i ojciec teraz dopiero zrozumieli, czego dotyczy rozmowa, której się przysłuchują.

- Wybaczcie, proszę... - powiedział Charles i obaj mężczyźni wycofali się dyskretnie.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta.

- Dlaczego miałabym nie wierzyć? - wyszeptała Virginia niepewnie, wytrzymując spojrzenie Guya.

- Wszystko było tak, jak na Santa Lucii. Twierdziłeś, że nic cię nie łączyło z Tarą, a chwilę później, kiedy wyjechałeś, powiedziała mi, że byliście kochankami. Zbyt wiele kobiet zdaje się tak uważać! Dlaczego miałabym się ludzi, że jestem dla ciebie kimś wyjątkowym?

Guy zerwał się ze swego miejsca przy kominku i w dwóch susach znalazł się przy Virginii. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią z całej siły. Jego oczy błyszczały ze złości.

- Po pierwsze wbij sobie wreszcie do głowy, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie! Po drugie, nie oszukiwałem twojej rodziny. Po trzecie, nie mam zamiaru żenić się z Nicolą, Schreider, zresztą ona jest zaręczona z kimś innym... Po czwarte, spałem z Tarą tylko raz, wiele lat temu i nigdy więcej tego nie zrobiłem, ponieważ nie lubię uprawiać seksu bez miłości. I na koniec: ostatnia noc była najpiękniejszą nocą w całym moim życiu. A teraz bardzo chciałbym wiedzieć, czy jest prawdą to, co mówiłaś mi, kiedy kochaliśmy się, a jeżeli tak, to dlaczego, z takim uporem, nie chcesz mi zaufać?

Virginia patrzyła na niego dręczona niepewnością. Dotyk jego rąk palił ją przez cienką bluzkę. Uchyliła się, tłumiąc łzy i potrząsając głową.

- No więc? - dopytywał się uporczywie, a jego oczy błyszczały złowrogo.
- Czy to prawda, co mi mówiłaś?

- Czego ode mnie chcesz? - Broniła się ze wszystkich sił. - Czy nie wystarczy ci, że dwie kobiety są w tobie zakochane do szaleństwa? Musisz zdobyć jeszcze trzeci skalp?

Puścił jej ramiona i spojrzał na nią twardo.

- Na Boga, Virginio, czego ty ode mnie oczekujesz? - wyrzucił z siebie ze złością. - Jeśli marzysz o księciu z bajki, który przyjedzie po ciebie na białym rumaku, to nic z tego. Jestem człowiekiem. Jestem omylny. Mam trzydzieści dwa lata i jakąś przeszłość za sobą. I nic na to nie poradzę!

- Guy, proszę... - wyszeptała. Przerażało ją, że był taki twardy, ale jednocześnie rozniecało w niej emocje, których nie rozumiała i nad którymi nie potrafiła zapanować.

- Prawisz mi nieustannie kazania. O zaufaniu, honorze, przyzwoitości. Honoru i przyzwoitości masz niewątpliwie pod dostatkiem, może aż w nadmiarze, ale co z zaufaniem? Osądzasz każdy mój dawny związek, a ja muszę wciąż toczyć z tobą batalie!

Dostrzegła w jego oczach ból i serce załomotało jej w piersi.

- Guy, nie potrafię sobie poradzić z tym, co czuję... - Rozplakała się prawie. Chciała rzucić się w jego ramiona, ale wściekłość w jego oczach kazała jej się zatrzymać. - Potrzebuję trochę czasu do namysłu...

Zapadła śmiertelna cisza. Jego smutne szare oczy spotkały się z jej zielonymi. Ich twarze były szare jak popiół.

- Oczywiście. - Jego dłoń przez moment dotknęła jej twarzy i zaraz cofnęła się. - Możesz mieć tyle czasu, ile tylko zechcesz, Virginio. Możesz zastanawiać się przez całą wieczność... - powiedział z gorzką ironią.

Dławiąc w sobie rozpacz patrzyła, jak drzwi cicho zamykają się za nim. Usłyszała jeszcze trzask drzwi frontowych i aston martin z piskiem opon ruszył sprzed domu. Stała tak nieruchomo, rozdarta wewnątrz, dopóki Charles nie przyszedł i nie zapytał, czy nie wybrałaby się z nim do Lucy, do szpitala.

- Czy on nie jest po prostu cudowny, Virgie? - Lucy leżała wsparta na poduszkach, na wąskim szpitalnym łóżku, tuląc w ramionach zawiniątko. Jej palce z miłością gładziły czarne włoski, które jej synek odziedziczył po Charlesie. Uśmiechała się promiennie.

- Jest wspaniały - powiedziała cicho Virginia. - Ma tak samo błękitne oczy jak ty...

- Nie mogę uwierzyć, że już jest po wszystkim.

- Kiedy Dawid Guy Chester zdecydował, że pora przyjść na świat, nic nie mogło go przed tym powstrzymać. - Charles zaśmiał się i połaskotał dziecko pod bródką. - Nie sądzisz, Ginny, że przypomina trochę tatę?

- Słucham?

- Virginia ma w tej chwili inne sprawy na głowie - powiedział ojciec, przyglądając się jej uważnie. Wszyscy spojrzeli z zainteresowaniem na jej bladą zatroskaną twarz.

- Dlaczego Guy nie przyszedł? - spytała nagle Lucy z pretensją w głosie, a Virginia zadrżała niespodziewanie. - Chcieliśmy z Charlesem, żeby został ojcem chrzestnym. Czy Charles mówił ci o tym?

- Tak, powiedział mi. Zapanowała niezręczna cisza.

- O co chodzi? - dopytywała się Lucy, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. - Czy coś jest nie tak?

- Istnieją pewne różnice w poglądach pomiędzy Guyem i Virginią - ostrożnie wyjaśnił Charles.

- Boję się, że zrobiłam coś w rodzaju sceny - wyznała zakłopotana Virginia. - Oskarżyłam Guya, że sprzedał Chesterów konkurencji, a okazało się, że ma wręcz przeciwne plany...

Była śmiertelnie zrozpaczona. Wykopała przepaść między sobą i Guyem. Stał się nagle taki daleki i obojętny. Czy tego właśnie chciała? Powiedział jej kiedyś, że brak zaufania niszczy związki między ludźmi. Czy do tego właśnie doprowadziła? Czy zniszczyła to, co Guy czuł do niej, czymkolwiek by to było?

- W pewnej chwili ich spór stał się tak osobisty - dodał Charles - że zmusił nas z tatą do odwrotu!

Lucy patrzyła uważnie na Virginię i oczy błyszczały jej z ciekawości.

- W jakim sensie osobisty? - spytała życzliwie.

- Czy jest coś między tobą a Guyem? Wbrew wszystkiemu, zawsze miałam nadzieję, że zejdziecie się ze sobą!

- I tak się stało, na krótko, ostatniej nocy - wyznała Virginia z goryczą, rumieniąc się pod badawczym spojrzeniem ojca. - Nie przejmuj się, tato. Mam dwadzieścia jeden lat i nie potrzebuję niczyjej zgody.

- Zdaję sobie z tego sprawę, kochanie. - Reakcja jej ojca była łagodniejsza, niż się spodziewała.

- Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma... - Virginia przygryzła wargę, aby nie obdarzyć go uśmiechem.

- Wy dwaj, uciekajcie stąd! - Lucy królewskim gestem odprawiła męża i teścia. - Chcę porozmawiać z Virgie! A teraz - powiedziała, kiedy po niezliczonych protestach, wreszcie usłuchali jej polecenia - opowiedz mi o wszystkim!

Możliwość zwierzenie się Lucy z kłopotów sprawiła Virginii prawdziwą ulgę. Jak to dobrze móc zrzucić z siebie ten ciężar, pomyślała, kończąc opowieść o ostatnich wydarzeniach. Pomięła w niej jedynie Mortimera i pewne ściśle intymne szczegóły.

- O Nicoli Schreider, to prawda - potwierdziła Lucy, kołysząc syna w ramionach, gdy tylko jego zachowanie zaczynało wskazywać na to, że zamierza zaprezentować moc swoich płuc, o której wspominał Charles. - Dziś rano przyjaciółka mówiła mi, że Nicola zaręczyła się z jakimś facetem z Northamptonshire, dziedzicem tytułu swego stryja.

- A więc czemu mnie okłamała?

- Pies ogrodnika - powiedziała Lucy kwaśno.

- Jeżeli ona nie może mieć Guya, dlaczego miałby go mieć ktokolwiek inny?

- Wygląda na to, że Guy zmienia kobiety jak rękawiczki - wymamrotała Virginia z przekąsem i poczuła, że serce jej krwawi.

- Jesteś w nim zakochana i założę się, że i on szaleje za tobą. Widziałam, jak na ciebie patrzył! Na pewno przekonasz się, że odpowiednia kobieta, to wszystko, czego Guyowi potrzeba.

- Nie wiem, czy potrafiłabym znieść, gdyby okazało się, że zostałam wymieniona na nowszy model! - wyznała z bólem Virginia. - Nigdy nie czułam do nikogo niczego takiego. Przy nim czuję się taka strasznie bezbronna...

- Nikt ci nie może zagwarantować, że będziesz szczęśliwa, kochanie. Ale Guy Stern jest jednym z najwspanialszych mężczyzn, jakich znam. Jeśli go pragniesz, podejmij ryzyko, oto moja rada.

W tym momencie Dawid Chester postanowił zademonstrować swoje możliwości i jego krzyk uniemożliwił dalsze zwierzenia. Jednak kiedy Virginia jechała do domu, rada Lucy ciągle brzmiała w jej uszach. Miała rozpaczliwą nadzieję, że może, Guy wrócił do Armscott Manor. Odczuwała palącą potrzebę rozmowy z nim, przzerwarcenia mostu nad otchłanią, która odgrodziła ich od siebie.

Nie, nie było go tutaj i nie dzwonił, upewniła ją pani Chalk, kiedy przygotowywały lekką kolację złożoną z serów i owoców. Virginia z ciężkim sercem poszła do swego pokoju, aby zmienić ubranie, które nosiła przez cały dzień. Wzięła szybki prysznic i zdecydowała ubrać się w brązowe sztruksowe spodnie i kremową koszulową bluzkę. Na ramiona zarzuciła grubą wełnianą sweter. Niezwykle energicznie wyszczotkowała włosy, które złotą falą opadły na jej plecy. Może kiedy wróci na dół, Guy tam będzie...

Nie było go jednak. To, jak waliło jej serce, przekonało ją bardziej niż jakiegokolwiek rozumowanie o tym, jakie są jej prawdziwe uczucia wobec Guya. Tak strasznie chciała go zobaczyć! Setki razy rozważała, co on powiedział i co ona powiedziała... Tak, koniecznie musi z nim pomówić...

Nie mogła nic jeść. Wymówiła się od rodzinnej kolacji, znalazła londyński numer telefoniczny Guya i próbowała dodzwonić się do niego. Wyobrażała sobie dzwonek telefonu rozlegający się w srebrnoszarym salonie z widokiem na Tamizę. Ścisnęła słuchawkę tak mocno, że aż zbieleły jej palce. Nikt jednak nie odbierał. Myślała, że wrócił do Londynu, ale może ciągle jest w

Oxfordshire? Przyszedł jej do głowy kolejny pomysł: wiejski dom, który razem oglądali. Może tam pojechał, do Milford Crest?

Pospiesznie uprzedziła rodzinę, że wychodzi, chwyciła zakiet i pobiegła do samochodu. Ściemniało się. W powietrzu unosiła się woń jabłek i stokrotek. Virginia przypomniała sobie wieczory na Santa Lucii i wypełnione egzotycznymi zapachami tropikalne ciemności. Poczła bolesne ukłucie w sercu. Przez jakiś czas jechała wiejską drogą, aż w końcu skręciła przy tabliczce „Droga prywatna”.

Przed furtką stał zaparkowany szary aston martin. W pokoju na dole paliło się światło. Guy był tutaj.

Noc była ciemna jak smoła, wiał zimny wiatr. Virginia szła powoli w kierunku frontowych drzwi. Po drodze minęła oświetlone okno i powodowana nagłą ciekawością zajrzała do środka. Jeżeli naprawdę dopiero tydzień temu kupił ten dom, to niesłychanie szybko się w nim urządził, pomyślała.

Na kominku płonęły drewniane szczapy, wielki perski dywan pokrywał rudobrazową podłogę z szerokich dębowych desek. Trzy sofy z wysokimi oparciami, zamiast jak zwykle perkalem, obite były welwetem w kolorze dojrzałej papryki. We wnęce dostrzegła piękne orzechowe biureczko, zasłane gazetami. Stał na nim do połowy opróżniony kieliszek z czymś, co wyglądało na czerwone wino. I ani śladu Guya.

Czuła się dziwnie zdenerwowana. Zapukała do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zapukała raz jeszcze i nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Światło zaprowadziło ją do pokoju. Chciała zawołać, ale głos uwiązł jej w gardle.

Zbliżyła się do kominka i wolno usiadła na obitej sztruksem sofie. Po dłuższej chwili usłyszała kroki w korytarzu. W drzwiach pokoju stanął Guy z naręczem drew. Przyglądał się jej w milczeniu, z nieodgadnionym wyrazem w swoich szarych oczach.

- Patrzcie państwo! Królowa Śnieżka? - Cedzone przez zęby słowa brzmiały tak beznamiętnie, że Virginia poczuła, jak ze strachu robi jej się sucho

w gardle. Co ona tu właściwie robi? Przecież prosiła Guya, żeby dał jej trochę czasu, a on całkiem jasno dał jej do zrozumienia, że ma zamiar to zrobić. A teraz co? Ledwo minęło kilka godzin i przyjechała tu za nim, jak zakochana nastolatka.

- Kto siedział na moim krzeselku? - odpowiedziała drżącym głosem, przypominając sobie, w jaki sposób Guy powitał ją tej niezapomnianej nocy na Santa Lucii.

Nie oglądając się na nią, Guy podszedł do kominka i wsypał drwa do kosza. Podniósł się i otrzepał drzazgi z koszuli. Spojrzał na zegarek i uniósł brwi.

- Jest już dziesiąta, Virginio. Miałem zamiar położyć się dziś wcześniej. Czemu zawdzięczam tę zaskakującą wizytę?

- Guy, czy mógłbyś nie być taki zimny, obojętny i cyniczny? - poprosiła niskim, pełnym napięcia głosem.

- A jaki mam być, twoim zdaniem? - zapytał chłodno. - Mam pić na umór, aby złagodzić cierpienie? A może powinienem umierać ze złamanym sercem?

Zamierzone okrucieństwo jego słów było dla niej jak nóż wbity w serce. Błada, zbyt przejęta, żeby płakać, podniosła się z wolna. Teraz albo nigdy. Rada Lucy ciągle brzmiała jej w uszach. Jej uczucia uległy całkowitemu przeobrażeniu w ciągu ostatnich paru godzin. Przedtem obawiała się, że jeżeli uwierzy Guyowi, będzie to jej największa życiowa pomyłka, teraz, z niewytłumaczalnych powodów wydawało jej się, że nie potrafi sobie wyobrazić bez niego życia. Nie miała jednak odwagi przyznać się do tego komuś, kto robił wrażenie tak obojętnego i znudzonego, jak ten człowiek stojący przy kominku.

- Czego chcesz, Virginio? - Jego oczy patrzyły na nią twardo spod ciężkich powiek.

Virginia, z wypiekami na twarzy, w panice, z trudem łapała oddech.

- Ciebie - powiedziała drżącym głosem. - Chcę ciebie, Guy!

Jego wzrok wcale nie złagodniał.

- Odniosłem wrażenie, że mnie miałaś - szydził bezlitośnie - i znalazłaś we mnie liczne usterki.

Zamknęła gwałtownie oczy i starała się wymazać ze świadomości to, jak bardzo się ośmieszyła. To były czyścicowe męki, najgorsze, co spotkało ją kiedykolwiek w życiu.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, Guy nadal stał nieporuszony. Z trudem przełykała ślinę, starając się przygotować na upokorzenie, jakim będzie ujawnienie jej prawdziwych uczuć.

- To nie tak, Guy... Wcale nie jestem dumna z tego, jak się dzisiaj zachowałam. Byłam podejrzliwa, obłudna i co więcej, przeraźliwie tchórzliwa. Jeżeli ty nie jesteś doskonały, to ja tym bardziej...

- Przestań już, Virginio. - Ton jego głosu nadal był szorstki, ale przybrana maska obojętności wyraźnie topniała, kiedy tak patrzyła na niego z rozpaczą.

- Byłam szczerą ostatniej nocy - ciągnęła dalej nieswoim głosem. - Przepraszam, że ci nie ufałam. Kocham cię, Guy...

Guy wymamrotał jakieś nie dające się powtórzyć słowa, schował twarz w dłoniach, a potem rozwichrzył nimi swoje krótkie czarne włosy.

- Czy możesz przestać? - powtórzył schrypniętym głosem. - Skończ z tymi cholernymi usprawiedliwieniami, Virginio i podejdź do mnie, proszę.

Virginia patrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu. Czowała się jak sparaliżowana. Była jak aktor na scenie - oderwana od rzeczywistości. Już jest za późno, oskarżyła go o jeden raz za dużo, powiedziała o jedno kazanie za dużo. Zaprzepaściła szansę zbliżenia się do niego. A on przecież był specjalistą od uwalniania się od niepożądanych więzów emocjonalnych. Przypomniała sobie jego pełen goryczy, kpiący z niej głos...

- Słuchaj, naprawdę jest mi przykro... - udało jej się powiedzieć z wymuszonym uśmiechem, podczas gdy w środku umierała po raz tysięczny. - Nie chciałam ci sprawiać kłopotów, Guy, po prostu myślałam... To znaczy, nie byłam pewna, jak się rzeczy mają...

- Sprawiać kłopotów? - Chwycił jej twarz w swoje dłonie i patrzył na nią dzikim wzrokiem. - Czy naprawdę uważasz, że kiedy słyszę, jak mówisz, że mnie kochasz, to jest to kłopot?

- Nie wiem - powiedziała zduszonym szeptem.

- Powiedz mi, co wtedy czujesz?

Trzymając ciągle twarz Virginii w swoich dłoniach, zanurzył palce w jej włosach. Ucałował ją z pohamowywaną gwałtownością, a następnie puścił, tak nagle, że prawie straciła równowagę.

- Wątpię, czy istnieją takie słowa, które potrafiłyby opisać, co wtedy czuję - powiedział, a w jego oczach znowu błysnęła kpina. - Po prostu przestań przepraszać. Nie mogę znieść, kiedy prosisz, abym wybaczył ci to, za co najbardziej cię kocham.

- Och, Guy! - Zadrżała. - Ty mnie kochasz? Przez dobre parę sekund stał bez ruchu, ze zmarszczonym czołem. Potem uśmiechnął się kpiąco.

- Ujmijmy to w ten sposób: jeżeli kiedykolwiek mnie porzucisz, popełnię harakiri tępym nożem.

- Guy! - Nie mogła opanować śmiechu. Radość zalała jej serce i ogarnęła ją całą, poczuła, jak nogi uginają się pod nią ze szczęścia. - Nie wolno mówić takich rzeczy! To straszne!

- Straszne by było, gdybym to zrobił. Tylko zostając ze mną możesz temu zapobiec.

- Guy... - wyszeptała jego imię i wybuchnęła śmiechem, gdy uwięził ją w pułapce swoich ramion i zamknął jej usta pocałunkiem. Owładnęła nią żywiołowa, namiętna radość. Zamknęła oczy, zatopiła dłonie w jego ciemnych włosach i uległa bez reszty rozkoszy całowania go i smakowania jego pocałunków.

Trwało to dłuższą chwilę, zanim Guy opanował się i niechętnie odsunął Virginie od siebie. Patrzyła w jego oczy i widziała w nich z trudem opanowywane pożądanie. Serce jej zamarło.

- Muszę porozmawiać z tobą o Nicoli - wymamrotał łamiącym się głosem. - Nigdy jej nie kochałem, Virginio i wątpię, czy ona mnie kiedykolwiek kochała...

- To nie ma znaczenia, Guy. Nie musisz się tłumaczyć...

- Muszę. Zareczyć się z kimś, a potem zerwać zaręczyny, to poważny błąd. Chciałbym to wyjaśnić.

- Jego głos stał się bardziej szorstki, nie spuszczał z niej wzroku.

Pociągnął ją na sofę i posadził obok siebie.

- Będę się streszczał. Zresztą, nie mam się czym chwalić. Joseph Schreider był dla mnie kimś w rodzaju... zastępczego ojca. Uważał dążenie do władzy i bogactwa za naturalne cele, nie pogardzał intelektem, tak jak moi rodzice. Jego córka, Nicola, po powrocie do domu z drogiej szwajcarskiej szkoły, stwierdziła, że jej się podobam. Była atrakcyjna, można z nią było spędzać całkiem miło czas, wyglądało to na dobry interes. Żadne z nas nie myślało zbyt poważnie. Byłem wówczas chyba niezbyt dojrzały emocjonalnie. Zgrzyt nastąpił, kiedy odkryłem, że Nicola sypia również z innymi mężczyznami, a mnie to właściwie nie przeszkadza. I wtedy uświadomiłem sobie, że jest coś złego w naszych stosunkach, że jest coś złego w moim życiu...

Guy przerwał i spojrzał na Virginie z nieoczekiwaną nieśmiałością i lękiem.

- Teraz twoja kolej na umoralniające kazanie - podpowiedział z niepewnym uśmiechem.

- Nic z tego. - W odpowiedzi objęła go ramionami i zdecydowanie pokręciła głową. - Nigdy więcej żadnych kazań. Nie zamierzam przejmować się twoją hulaszczą przeszłością, dopóki pozostaniesz nawróconym grzesznikiem - zażartowała.

- Będziesz go miała - zapewnił ją miękko. Oczy mu ściemniały. - Czy chcesz, żebym ci opowiedział o Tarze?

- Nie!

- Tara postanowiła przenieść się na Jamajkę i teraz tam uprawia swoją sztukę masażu. Wyjechała z Santa Lucii. Na jej miejscu pracuje teraz Malika, siostra Solomana... Virginio, czy wyjdiesz za mnie?

Pytanie to całkowicie ją zaskoczyło. Zaczerwieniła się i zaraz pobladła.

- Tak, oczywiście, że za ciebie wyjdę - wyszeptała w końcu. Jej serce biło jak szalone.

- W przyszłym tygodniu, jeśli uzyskam specjalne pozwolenie? - Jego oczy zwęziły się znowu tajemniczo.

- Tak, ale nie wiem... Może powinniśmy poczekać nieco dłużej? Upewnić się, że naprawdę oboje tego chcemy? - Próbowwała protestować, ale przerwał jej, zmuszając, aby położyła się na sofie.

- Powiedz mi tylko, czy chcesz tego? - nalegał delikatnie, lecz uparcie.

- Tak! Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale od jak dawna...? - Była czerwona ze wstydu, zapierające dech w piersi pożądanie sprawiało, że z trudem potrafiła zebrać myśli.

- Kiedy zrozumiałem, że pragnę cię poślubić? - uzupełnił nieubłaganie Guy, obsypując jej usta pocałunkami. - Odkąd po przybyciu na Santa Lucię pewna polująca na samotne dusze jędza rzuciła na mnie czar. Była zupełnie naga, miała rude włosy, siedziała na moim łóżku i okropnie mi wymyślała...

- Jędza... - słabo zaprotestowała Virginia. - Chyba przesadzasz.

- Od chwili kiedy to najpierw sponiewierałaś mnie, mówiąc jakim jestem chciwym kapitalistą, a potem, powodowana godną pochwałą lojalnością wobec rodzinnej firmy, zmusiałaś się, aby być dla mnie miła, złapałem się na twój haczyk. Jestem masochistą, Virginio. Małżeństwo z tobą świetnie zastąpi mi samobiczowanie...

Z tłumionym piskiem spychała go z siebie rękami i kolanami. W końcu chichocząc uległa, gdy powalił ją na sofę i patrząc na nią śmiejącymi się oczami przytrzymał jej ręce, tak że nie mogła mu nic zrobić.

- Boję się, że będziesz gorzko rozczarowany - ostrzegła go. -

Zwariowałam na twoim punkcie i prawdopodobnie będę cię kochać, szanować i będę posłuszna aż do znudzenia.

- Zaryzykuję! - Roześmiał się, wędrując wargami w dół jej szyi, a jego dłonie ześlizgnęły się wzdłuż miękkiej linii jej ciała. Okazała się tak podatna na jego pieśczoć, że nie było mowy, aby mogła nie zgodzić się na to, co nastąpiło później.

- Nie mogę uwierzyć, że to już prawie październik.

- W Oxfordshire na pewno pada - przytaknął i uśmiechnął się patrząc na Virginie leżącą na cudownym białym piasku z miną zadowolonej kotki. Wyszli właśnie z wody i ułożyli się w cieniu palmy. Bezlitośnie prażące słońce odbijało się w szafirowych wodach zatoki.

- Jest coś okropnego i dekadentckiego w takim leniuchowaniu na Karaibach, podczas kiedy w Anglii pada... - wymamrotała.

- Prawie tak dekadentckiego, jak w nowej pani Stern - powiedział Guy. - Z bezgranicznym entuzjazmem pani Stern-projektantki i pani Stern-jednego z dyrektorów Sarah Chester, konkurować może jedynie entuzjazm, z jakim oddaje się ona bardziej fizycznym aspektom swojej nowej roli... Auu! - Guy zachwiał się, celnie ugodzony pięścią Virginii. Chwycił ją w węzowy uchwyt swoich ramion i pociągnął na ręcznik. Tam unieruchomił ją, przyciskając do ziemi swoją muskularną nogą.

- Nie warto zaprzeczać - szeptał jej do ucha. - Odkąd tu przyjechaliśmy, rzadko oglądam światło dzienne.

- Spędzamy tyle czasu kochając się tylko dlatego, że nie chcesz rozmawiać ze mną o interesach - narzekała zupełnie tym nie speszona.

- Bzdury. Możemy rozmawiać, kiedy tylko chcesz, pod warunkiem, że nie zaczniesz znowu moralizować, gdy mowa o koniecznych cięciach w zatrudnieniu.

- Ja wcale nie moralizuję - zaczęła mówić serio. - Po prostu ciągle mam wątpliwości, czy nie można tego rozwiązać inaczej...

- Sama widzisz...

- Przynajmniej wiem, co mam zrobić, żebyś mnie pocałował - prowokowała go delikatnie. - Czyżbyś zgłaszał reklamacje? - Śmiała się cicho, topniejąc pod wpływem jego gwałtownych pieszczot. - Co mogę poradzić na to, że twoje rozpustne obyczaje sprawiają, że zamieniam się w... dziwkę?

- W co?

- W dziwkę... To jest taka lubieżna, rozwiązła i bezwstydną kobieta, która...

- Wiem, znam definicję ze słownika i uwielbiam, kiedy mówisz nieprzyzwoite rzeczy - mruczał zadowolony. - Boję się jednak, że moja skromna, wymagająca, idealistyczna żona musi przebyć jeszcze długą drogę, zanim zdobędzie kwalifikacje odpowiadające temu opisowi.

- Doprawdy? Myślałam, że posiadam je już w znacznym stopniu. - Szczęśliwa, przypatrywała mu się z miłością.

- Można je jeszcze udoskonalić - szepnął, biorąc ją w objęcia.

- Guy, to nieładnie z twojej strony - strofowała go. - Tak nie można, nie tutaj, Guy, nie możemy tego robić tutaj...

Bezceremonialnie zabrał się do zdejmowania z niej turkusowego kąpielowego kostiumu, a jej dalsze protesty uciszył pocałunkiem.

